

a PRAWO JEST PRAWEM

- z archiwum profesora Andrzeja Rzeplińskiego -



SPIS TRESCI

1. FALSZERSTWO SADOWE ss. 2

Sędziowie nie chcą ukarania kolegi

Ministerstwo się przypatrzy

Prawo a życie człowieka

2. ADWOKAT I PROKURATOR NA ŁAWIE OSKARŻONYCH ss. 5

Urządник, gliniarz i prokurator. Afera w świecie prawniczym

Prostowanie zeznań. Afer w świecie prawniczym cd.

Dyrektor zatrzymany przez UOP

Śledztwo do Krakowa

Rozmowa z podinspektorem Krzysztofem M.

Prokurator bez immunitetu. Lubartów. Afera w lubelskim świecie prawniczym

Prokurator za kratkami

„Pietia” do więzienia. Z sądu. Skazujący wyrok w sprawie pobicia z Trzcinka

Prawnicy oskarżeni. Z sądu. Akt oskarżenia w sprawie afery korupcyjnej w świecie prawniczym

Mecenas sobą nie kierował

Afera całkiem kosztowna? Z sądu

Nie chcą sędzić kolegi

Afera zostanie w Lublinie

Adwokat i prokurator na ławie oskarżonych. Rozpoczyna się najważniejszy proces ostatnich lat

Między nami mataczami

Urządник, dziennikarz, policjant

Sprawa afery w świecie prawniczym spadła z wokandy

Adwokat, prokurator, esbek

Jeden spowodował, dwaj tuszowali

Prokurator z Lubartowa obciąża adwokata

Prokuratorzy pomagali mataczyć. Kolejni zamieszani w aferę łupówkarską

Policyjno-prokuratorские skandale. Afer, kompromitacje i wielki pościg...

3. BYŁY PROKURATOR APELACYJNY W ARESZCI ss. 32

Były prokurator apelacyjny w areszcie

Święta w areszcie. Prokuratorowi Hopowi nie pomogło poręczenie arcybiskupa

Pensję i konto byłego prokuratora apelacyjnego w Katowicach Jerzego Hopa oraz hipoteki jego dwóch nieruchomości zajęła krakowska prokuratura, prowadząca śledztwo przeciwko niemu.

4. KONIEC PROCESU PROKURATORKI Z PODLASIA ss. 35

5. PROCES PROKURATORA Z CIESZYNA ss. 38

6. SPALIĆ OBRAZY ss. 39

7. SEDZIA DORABIAŁ U GANGSTERA ss. 48

8. PROKURATOR PODEJRZANY ss. 50

9. JAK SPRZEDAĆ SZAFĘ ss. 52

10. BUBLE PRAWNE ss. 54

11. MAFIA Z PROKURATOREM ss. 56

1. FAŁSZERSTWO SĄDOWE

2002/02/02-2002/02/03, Grzegorz Praczyk; Gazeta w Lublinie nr 28, str. 3

Sędziowie nie chcą ukarania kolegi - Fałszerstwo sądowe małej wagi Sędziego Czesława M. sfalszował wyrok. Nie stanie jednak przed sądem. Sędziowski sąd dyscyplinarny ukarał go jedynie naganą i odmówił uchylenia immunitetu

Wczorajsza rozprawa dyscyplinarna w Sądzie Apelacyjnym była przełomowa. Po raz pierwszy odbywała się jawnie i mogli wziąć w niej udział dziennikarze. Rolę sędziów pełniło trzech losowo wybranych sędziów Sądu Apelacyjnego. Sędziego Czesława M. oskarżał rzecznik dyscyplinarny, sędzia lubelskiego Sądu Okręgowego Andrzej Kaczmarek. Bronił sędzia Artur Ozimek z lubelskiego Sądu Rejonowego.

Maskowanie pomyłki

Sprawę sędziego Czesława M. opisaliśmy w grudniu. Sędzia wyrwał z akt wydany przez siebie wyrok skazujący (chodziło o odwołanie od uniewinniającej decyzji kolegium) i zastąpił go innym. Dlaczego? Sędzia M. dopiero po kilku dniach zorientował się, że w pierwszym wyroku popełnił błąd. Wyrok był sprzeczny z podstawowymi zasadami prawa (orzeczenia uniewinniającego nie można zmienić na skazujące) i gdyby ktoś się o nim dowiedział, naraziłby się na nieprzyjemności u przełożonych. Dlatego sędzia zdecydował się na podrobienie wyroku. Uchylił w nim wcześniejsze orzeczenie i przetrzymał akta sprawy tak, żeby z powrotem trafiła do niego. Wtedy ją umorzył.

Wszystko się jednak wydało, kiedy w lubelskiej prokuraturze znalazły się dwa różne wyroki w tej samej sprawie. Prokuratura wszczęła śledztwo i powiadomiła o wszystkim prezesa lubelskiego Sądu Okręgowego. Wkrótce przeciwko sędziemu M. wszczęto postępowanie dyscyplinarne. Sędzia zrezygnował z funkcji szefa wydziału.

A jednak sfalszowałem

Sędzia początkowo nie przyznawał się do winy. W pisemnych wyjaśnieniach twierdził, że fałszywy wyrok znalazł się w aktach przez pomyłkę. Najpierw utrzymywał, że winni jej są pracownicy sekretariatu, którzy pochopnie potraktowali jako wyrok projekt wyroku. Później twierdził, że pomyłka wynika z tego, że w pracy pomaga mu syn, student prawa, który przygotowuje mu niektóre wyroki i uzasadnienia. Zdaniem sędziego mógł nie wiedzieć, że wyroku uniewinniającego nie można zmienić na niekorzyść.

Wczoraj jednak sędzia odwołał to, co mówił wcześniej i przyznał się do fałszerstwa. - Dlaczego pan nie powiedział prawdy od razu? - pytał przewodniczący składu sędzia **Marek Sagan**. - To skutek przepracowania i leków, które biorę - odpowiedział sędzia M.

Sędzia Czesław M. narzekał wczoraj na nawał pracy i stan swojego zdrowia (leczy się na serce). - W dniu, w którym rozpatrywałem sprawę (tę, w której sfalszowano wyrok - red.), miałem wyznaczonych na wokandzie 16 spraw - mówił.

Rzecznik dyscyplinarny był zaskoczony przyznaniem się do winy sędziego. Jego mowa wyglądała bardziej jak obrona, a nie jak oskarżenie. - Orzecznictwo sędziego M. jest na dobrym poziomie. Ten czyn miał charakter incydentalny. Społeczna szkodliwość była znikoma, a motywacja działania sędziego nie zasługuje na szczególne potępienie - mówił sędzia **Kaczmarek**. Chciał, żeby sędziego za karę przenieść na inne miejsce pracy. - Jest winny tego, że pracował za dużo - mówił obrońca sędziego M. - Ten błąd był pierwszym w jego 20-letniej karierze.

Koniec na naganie?

Sąd dyscyplinarny po dwugodzinnej naradzie uznał, że sędziemu M. wystarczy kara nagany. - Był przeciążony pracą. Obciążał się nią sam jako przewodniczący wydziału. Miał szereg innych

obowiązków - mówił w uzasadnieniu wyroku sędziego **Roman Ciechański**. Sąd zauważył też, że sędzia M., fałszując wyrok, nie wykazywał złej woli i nikomu nie zaszkodził.

Wczorajsze orzeczenie sądu dyscyplinarnego jest nieprawomocne. Jednak na postawienie sędziego przed sądem raczej nie ma co liczyć. Od orzeczenia o uchyleniu immunitetu może się odwołać w tej chwili jedynie rzecznik dyscyplinarny. Najprawdopodobniej jednak tego nie zrobi, bo wczoraj przed sądem sam był za tym, żeby sędziemu Czesławowi M. immunitetu nie uchylić.

Dla Gazety - Prof. Andrzej Rzepliński - Helsińska Fundacja Praw Człowieka:

- Każdy szary człowiek, który poświadczyłby nieprawdę w dokumencie, szybko miałby na karku prokuratora. Obserwując przypadek pana sędziego M., widzimy, że wytworzył się podwójny standard w podejściu do przepisów o fałszerstwie. Decyzja odmawiająca uchylenia immunitetu to wyraźny sygnał demoralizujący dla społeczeństwa. Sędziowie, pewnie ci sami, którzy w swojej karierze skazali już wiele osób za poświadczenie nieprawdy, tym razem odmówili pozwolenia na ściganie swojego kolegi.

Biorąc pod uwagę fakt, że sędzia M. jest schorowany, dochodzę do wniosku, że sąd dyscyplinarny postanowił dotrzymać sędziemu M. do czasu, kiedy będzie mógł przejść na sędziowską emeryturę. Być może wcześniejszą. Liczę na to, że w sprawę włączy się Ministerstwo Sprawiedliwości i Krajowa Rada Sądownictwa. NOT. GP

Sąd stwierdził, że podrobienie wyroku przez sędziego M. nie wyrządziło nikomu krzywdy, a cała sprawa jest przypadkiem niezbyt istotnym. Trudno się z tym zgodzić. Krzywda stała się wymiarowi sprawiedliwości, a podrobienia dokumentu dopuścił się w tej sprawie nie zwykły Kowalski, tylko sędzia. Funkcjonariusz publiczny, człowiek, który ma być wzorem uczciwości dla wszystkich. Sfałszował dokument, który dla sędziego powinien być świętością.

Być może sędzia M. zasłużył u swoich przełożonych jedynie na naganę. To wewnętrzna sprawa sądu i niech ją sobie sąd załatwia. Jednak odmowa uchylenia immunitetu sędziego M. budzi moje zdziwienie. Uważam, że sprawą fałszywego wyroku powinna jednak zająć się prokuratura. Ona, a nie koledzy z pracy sędziego, jest od tego, żeby zdecydować, czy sędzia M. powinien stanąć przed sądem.

Sposób załatwienia sprawy sędziego M. pozostawia duży niesmak. Wzmocni i tak już silne przekonanie opinii publicznej o tym, że sędziowie stoją ponad prawem.

GRZEGORZ PRACZYK

Sędzia Czesław M. zaczął orzekać na początku lat 80. Najpierw w Sądzie Rejonowym w Zamościu, a potem w Lublinie.

Sędzia był opisywany w Gazecie przy okazji sprawy afery związanej ze zderzeniem samochodów na jednej z lubelskich ulic. Uniewinnił mężczyznę podejrzanego o spowodowanie kolizji po pijanemu. Zrobił to m.in. na podstawie zeznań policjantki, które stały się powodem oskarżenia jej o krzywoprzysięstwo właśnie w tej sprawie.

2002/02/05, Grzegorz Praczyk Gazeta w Lublinie nr 30, str. 2

Ministerstwo się przypatrzy

Skandaliczny piątkowy wyrok sądu dyscyplinarnego skazujący sędziego Czesława M. na naganę za sfalszowanie immunitetu i odmawiający pozwolenia na ściganie nie jest prawomocny.

Zdaniem sędziów, którzy orzekali w sprawie swojego kolegi, odwołać się od niego może - oprócz rzecznika dyscyplinarnego - także Ministerstwo Sprawiedliwości i Krajowa Rada Sądownictwa. Jednak tylko w części dotyczącej wymierzonej kary, a nie odmawiającej odebrania immunitetu.

Wczoraj zapytaliśmy, jakie stanowisko zajmie w sprawie wyroku Ministerstwo Sprawiedliwości. - Na razie musimy się z nim dokładnie zapoznać - powiedziała dyrektor Biura Informacji w ministerstwie Barbara Mąkosza-Stępkowska. - Nasze stanowisko przedstawimy dopiero po zebraniu informacji.

Ewentualna decyzja ministerstwa o odwołaniu się od wyroku spowoduje, że sąd dyscyplinarny będzie musiał jeszcze raz rozstrzygnąć, czy w sprawie sędziego M. wystarczająca będzie kara nagany (sędziego można ukarać także np. przeniesieniem na inne miejsce pracy, a nawet wydaleniem z zawodu).

Sąd skazujący sędziego M. zastrzegł, że minister może zaskarżyć jedynie decyzję o naganie. W przypadku uchylenia immunitetu decyzja o odwołaniu należy do zastępcy rzecznika dyscyplinarnego, lubelskiego sędziego **Andrzeja Kaczmarka**. Na to, że sędzia **Kaczmarek** się odwoła, nie ma jednak co liczyć. W sądzie sam był za tym, żeby sędziego Czesława M. dalej chronił immunitet.

Tymczasem prof. **Andrzej Rzepliński** z Uniwersytetu Warszawskiego uważa, że prawo daje ministrowi możliwość odwołania się także od decyzji o uchyleniu immunitetu. Co o tej sprawie sądzą w ministerstwie? Ministerialni prawnicy na razie milczą.

2002/01/29, ADA; [Gazeta w Kielcach nr 24, dział MIASTO, str. 3](#)

Brutalne morderstwo w Kielcach. Czy musiało do niego dojść? Prawo a życie człowieka

Dziewiętnastolatek, który zabił w piątek swojego kolegę, miał wyrok czterech lat więzienia. Sąd uchylił mu jednak areszt do czasu rozprawy apelacyjnej. Czy, gdyby został w areszcie, nie zginąłby człowiek?

W nocy z piątku na sobotę w dzielnicy Łazy w Kielcach 19-letni Robert został zakatowany na śmierć przez swoich kolegów. Policja i prokuratura ustaliły, że głównym sprawcą morderstwa był jego kolega z podwórka Sławomir M. W czerwcu ubiegłego roku razem z trzema kolegami pobił on i okradł przypadkowego przechodnia. Spędził w areszcie ponad trzy miesiące. We wrześniu kielecki Sąd Rejonowy skazał go na cztery lata więzienia. Wyrok nie jest jednak prawomocny, ponieważ sprawa trafiła do apelacji. Do czasu rozprawy apelacyjnej sąd uchylił Sławomirowi M. tymczasowy areszt.

Wojciech Arczyński, rzecznik Sądu Okręgowego w Kielcach, tłumaczy: - Areszt tymczasowy to nie jest kara, tylko środek do zabezpieczenia prawidłowego toku postępowania. W tym przypadku sąd uchylił areszt z uwagi na zakończenie postępowania pierwszej instancji. Uchylenia aresztu zdarzają się także przy wyższych wyrokach w pierwszej instancji. Poza tym w polskim prawie obowiązuje tzw. domniemanie niewinności do czasu prawomocnego wyroku, bo przecież sąd drugiej instancji może uznać osobę za niewinną. Sławomir M. będzie teraz odpowiadał osobno za rozbój, osobno za zabójstwo. Nie ma tu możliwości wyroku łącznego. Będzie musiał odbyć dwie kary po sobie. **ADA**

Dla Gazety Prof. Andrzej Rzepliński z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

Moim zdaniem sąd postąpił prawidłowo. Rozumiem zbulwersowanych tym ludzi, ale do czasu orzeczenia drugiej instancji skazani odpowiadają w większości przypadków z wolnej stopy. Wszyscy przecież na tym korzystają. My, czyli podatnicy, nie płacimy za tego człowieka, a on może uporządkować swoje sprawy.

2. ADWOKAT I PROKURATOR NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

2001/01/17, Grzegorz Praczyk, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 14, s. 1

Urzędnik, gliniarz i prokurator. Afera w świecie prawniczym

Lubelska prokuratura podejrzewa prokuratora z Lubartowa o sprzedawanie akt i chce postawić go przed sądem. Sprawa zatacza coraz szersze kręgi. Przewijają się w niej m.in. wysoki funkcjonariusz policji, urzędnik lubelskiego magistratu, prokurator specsłużb i znany lubelski dziennikarz.

Sprawa ma związek z aresztowaniem w połowie grudnia ub.r. znanego lubelskiego adwokata Adama K. Interesuje się nią Ministerstwo Sprawiedliwości, Komenda Główna Policji i Urząd Ochrony Państwa.

Tortury w Trzcińcu

Nie byłoby afery, gdyby nie porachunki w lubelskim świątku przestępczym. Cofnijmy się do 5 kwietnia 1998 r. Tego dnia w Trzcińcu pod Lubartowem grupa pięciu mężczyzn napadła na Krzysztofa A. Twierdzili, że ich oszukał. Śledztwo w sprawie napadu prowadziła później lubartowska prokuratura, która oskarżyła ich o rozbój.

Z akt sprawy wynika, że jeden z napastników zawiózł Krzysztofa A. do jednego z trzcinieckich zabudowań. Tam czekali pozostali napastnicy. Mieli go bić pięściami, trzonkiem od siekiery, metalowym pilnikiem, kulą rehabilitacyjną. Potem podciągać na sznurze przewieszonym przez belkę stropową i grozić postrzeleniem z dubeltówki. W ten sposób chcieli wymusić od niego pieniądze.

Krzysztof A., zdaniem prokuratury, uległ. Wydał napastnikom 12 tysięcy złotych, 100 marek, telefon komórkowy, dowód rejestracyjny dostawczego volkswagena, a nawet złoty łańcuszek. Odzyskał wolność. Skatowany powiadomił policję, która zatrzymała sprawców.

Szefem gangu, według prokuratury, był Sławomir S., pseudonim Pietia, **w przeszłości prawa ręka Ciola**. A jednym z członków jego grupy był Artur G., syn wysokiego urzędnika lubelskiego magistratu. Wszyscy zostali oskarżeni przez prokuraturę o rozbój.

Bandyta gorszy i lepszy

Minęło dwa i pół roku. W międzyczasie akt oskarżenia za tortury w Trzcińcu trafił do sądu. Prawdziwa bomba wybuchła jednak dopiero 24 listopada 2000 r. W Sądzie Okręgowym w Lublinie odbywała się kolejna rozprawa przeciwko grupie Pieti. Jednym ze świadków był Marcin L., **były policjant z Centralnego Biura Śledczego (polskie FBI), aresztowany pół roku wcześniej pod zarzutem handlu narkotykami**.

„Gazecie” udało się dotrzeć do jego zeznań. Wynika z nich, że wysoki urzędnik lubelskiego magistratu, ojciec współoskarżonego w sprawie tortur w Trzcińcu Artura G., próbował wpłynąć na prokuraturę i policję w celu „wybielenia syna”. Według funkcjonariusza urzędnik kontaktował się w tym celu z naczelnikiem wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie Jackiem K. i zastępcą naczelnika lubelskiego Centralnego Biura Śledczego podinspektorem Krzysztofem M. Pośredniczyć w kontaktach między urzędnikiem, a funkcjonariuszami miał znany lubelski dziennikarz - jego nazwisko przewija się w zeznaniach ekspolicjanta wielokrotnie.

Taką treść zeznań byłego funkcjonariusza częściowo potwierdza rzecznik lubelskiego Sądu Okręgowego sędzia Jarosław Matras. - Świadek Marcin L. mówił o działaniach, które miał podejmować CBS wspólnie z prokuraturą.

Urzędnik lubelskiego magistratu zaprzecza, by w sprawie syna kontaktował się z policją i prokuraturą. - To rzeczy wysane z palca. Radosna twórczość świadka i niektórych adwokatów - odrzuca pomówienia. Zeznaniami byłego funkcjonariusza zaprzeczają także naczelnik Krzysztof M. i prokurator Jacek K.

Z zeznań byłego policjanta, do których dotarła „Gazeta”, wynika, że syna urzędnika magistratu miał oczyścić z zarzutów udziału w rozboju inny oskarżony w sprawie tortur w Trzcińcu - Sławomir Ś. W zamian za korzystne zeznania wobec syna urzędnika miał odpowiadać z wolnej stopy. Według byłego policjanta miał mówić w prokuraturze, że w Trzcińcu syn urzędnika usiłował zapobiec rozlewowi krwi: próbował rozdzielać bijących się mężczyzn. Miał również w wyjaśnieniach obciążać Pietię.

A teraz o Pieti. Mecenas i jego klient

Sławomir S., w przeszłości prawa ręka Ciola (seryjnego zabójcy na zlecenie), oskarżony przed laty o brutalne pobicie w dyskotecie w Świdniku (ciężko okaleczył jednego z gości rozbitym butelką, tzw. tulipanem) uznawany jest za jednego z najbiedniejszych lubelskich Cyganów. Pietia wybrał na obrońcę mecenasa Adama K., jednego z najlepszych lubelskich adwokatów. **To właśnie Adam K. walcząc o swojego klienta, złożył wniosek, by przesłuchać w sądzie byłego policjanta z CBS.**

Trzy tygodnie po zeznaniach byłego funkcjonariusza, które obciążały urzędnika, policjanta i prokuratora - mecenas Adam K. sam trafił za kratki. - **Mecenas jest zamieszany w działania zorganizowanej grupy przestępczej** - poinformowała lubelska prokuratura na krótkiej konferencji prasowej. Adwokat miał próbować przekupić prokuratora i utrudniać postępowanie. Konkretnie - nakłaniać świadka do składania fałszywych zeznań. Prokuratura nie odpowiadała na żadne pytania dziennikarzy dotyczące sprawy i nie chciała zdradzić szczegółów. Jej szefowie enigmatycznie stwierdzili, że sprawa dotyczy napadu z kwietnia 1998 r. w podlubartowskiej miejscowości.

O co naprawdę chodzi? Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że mecenas Adam K. miał dwa lata temu proponować łapówkę prokuratorowi, który w sprawie tortur w Trzcińcu oskarżał jego klienta Pietię. Mówi się, że prokuratura „przypomniała” sobie o próbie przekupstwa lubartowskiego prokuratora dopiero po zeznaniach byłego policjanta. Jednak adwokaci oficjalnie w tej sprawie nie zajęli żadnego stanowiska, a mecenas Adam K. wciąż siedzi w areszcie.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że śledztwo przeciwko adwokatowi prowadzi wydział ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej, którego naczelnikiem był wspomniany wcześniej Jacek K.

Prokurator, który sprzedawał akta

Wróćmy do wciąż toczącej się przed Sądem Okręgowym w Lublinie rozprawy o tortury w Trzcińcu. - We wrześniu ub.r. jeden z oskarżonych powiedział, że w lubartowskiej prokuraturze w trakcie śledztwa sprzedawano akta tej sprawy - poinformował sędzieja Matras. Po co? Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że kupował je mecenas Adam K., by poznać zamiary przeciwników.

Informacja trafiła do Prokuratury Okręgowej w Lublinie, która 12 stycznia br. wystąpiła do Sądu Dyscyplinarnego w Warszawie z wnioskiem o odebranie immunitetu prokuratorowi z Lubartowa 31-letniemu **Maciejowi S.** To on podejrzewany jest o robienie kserokopii akt sprawy i ich sprzedaż. Padła nawet konkretna suma. Prokurator miał wziąć za przysługę **1,5 tys. zł.** Został zawieszony w pełnieniu obowiązków.

Śledztwo w tej sprawie idzie naprzód. W ostatnich dniach aresztowano mężczyznę, który miał pośredniczyć w przekazywaniu kopii między prokuratorem a adwokatem.

Zanim jednak wszczęto śledztwo w sprawie sprzedaży akt, mecenas wykorzystał kserokopie - skatowany w Trzcińcu mężczyzna nieoczekiwanie zmienił wersję wydarzeń.

- Na policji utrzymywał, że został pobity i okradziony. Natomiast przesłuchiwany po pewnym czasie w prokuraturze powoływał się na zaniki pamięci i zły stan zdrowia. Twierdził, że napastnicy niczego mu nie ukradli - mówi rzecznik sądu.

Prokuratorzy bez zaufania

Maciej S. już nie wykonuje obowiązków prokuratora, został zawieszony. Stanowisko w prokuraturze w ostatnim miesiącu stracił Jacek K., od pięciu lat szef wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie - od 19 grudnia ub.r. nie jest szefem wydziału, ale w odróżnieniu od Macieja S. nadal pracuje jako prokurator. Razem z nim odwołany został jego bezpośredni przełożony, szef Prokuratury Okręgowej w Lublinie Cezary Maj (chodzi o brak nadzoru). Przypomnijmy, że postać prokuratora Jacka K. wielokrotnie przewija się w zeznaniach byłego policjanta z polskiego FBI.

Cezary Maj i Jacek K. stracili stanowiska na wniosek prokuratora apelacyjnego w Lublinie **Włodzimierza Blajerskiego.** Rzecznik **Blajerskiego Leopold Piętał** przyznał jedynie, że „dymisja ma związek ze stratą zaufania do prokuratorów”.

2001/01/19, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 16, s. 3

Prostowanie zeznań. Afery w świecie prawniczym cd.

Dostałem dokładną instrukcję, jak mam zeznawać. Boję się o życie swoje i rodziny - tak mówił wczoraj świadek Krzysztof A., skatowany przez bandytów w Trzcińcu pod Lubartowem.

W wymuszanie zeznań na świadkach w sprawie tortur z Trzcińca, o czym pisaliśmy wczoraj i przedwczoraj, zamieszani są wysoki rangą urzędnik, policjant, prokurator i aresztowany w grudniu ub.r. znany lubelski adwokat. Sprawą interesuje się Ministerstwo Sprawiedliwości, UOP i Komenda Główna Policji.

Kto naciskał na świadka?

Przypomnijmy. Nie byłoby całej sprawy, gdyby nie napad sprzed dwóch i pół roku w podlubartowskim Trzcińcu. Zdaniem prokuratury pięciu mężczyzn torturowało tam i okradło człowieka. Wśród oskarżonych, którzy w maju ub.r. trafili przed lubelski Sąd Okręgowy, są m.in. Artur G., syn wysokiego urzędnika lubelskiego magistratu i dobry znajomy Ciola, Sławomir S. ps. Pietia.

O sprawie zrobiło się głośno, kiedy przed miesiącem aresztowano obrońcę Pieti, znanego lubelskiego adwokata Adama K. Zarzucano mu próbę przekupstwa prokuratora, który oskarża jego klienta, a także wymuszanie określonych zeznań od świadka w sprawie tortur z Trzcianca. Mecenas trafił do aresztu trzy tygodnie po tym, jak wezwany przez niego na świadka były policjant (aresztowany za handel narkotykami) opowiedział w sądzie, że zastępca naczelnika lubelskiego oddziału Centralnego Biura Śledczego **Krzysztof M.** i były naczelnik wydziału przestępczości zorganizowanej lubelskiej prokuratury Jacek K. zaangażowali się w obronę syna urzędnika. Zdaniem byłego policjanta, mieli nakłaniać innego oskarżonego w sprawie do składania fałszywych zeznań. W rozmowie z „Gazetą” naczelnik CBS i prokurator zaprzeczyli zeznaniom świadka. **Krzysztof M.** przyznał jednak, że spotkał się z urzędnikiem magistratu i mogło dojść do jego nieformalnego widzenia z synem.

Litościwy Pietia

Wczoraj na kolejnym terminie sądowej sprawy zeznawał Krzysztof A., pobity przez bandytów w Trzciancu. Przyznał, że do podlubartowskiej wioski wywabił go - pod pozorem obejrzenia oferowanego do sprzedaży samochodu - jeden z oskarżonych. - Jak wyszliśmy z samochodu, to czekali już na nas pozostali - mówił. - Złapali mnie, zaciągnęli do stodoły. Tam bili, podciągali na sznurze przewieszonym przez belkę stropową. Zabrali pieniądze (12 tys. zł, marki niemieckie), złoty łańcuszek i dowód rejestracyjny mojego samochodu. Kazali dostarczyć na następny dzień 20 tysięcy.

Wersja wydarzeń w Trzciancu, jaką wczoraj przedstawił świadek, odbiegała jednak trochę od tego, co figuruje w akcie oskarżenia. Prokuratura uznała, że to Pietia pełnił kierowniczą rolę podczas napadu. Pobity w Trzciancu sugerował jednak wczoraj, że prowodyrem grupy był syn urzędnika lubelskiego magistratu. Bardzo niewiele mówił natomiast na temat udziału w zdarzeniu Pieti. - Pojawił się w Trzciancu pod sam koniec zajścia. Nie bił mnie, do niczego mnie nie zmuszał, nie groził - Krzysztof A. wystawiał wczoraj jak najlepsze świadectwo oskarżonemu. - Nawet mówił „Co wy z nim zrobiliście?”, żeby przestali mnie bić. Pietia był wyraźnie zadowolony z wersji wydarzeń przedstawianej wczoraj przez świadka. - To ojciec G. powinien siedzieć, a nie ja! - krzyczał pod koniec rozprawy.

Jest instrukcja, jest kasetka

Na początku rozprawy świadek Krzysztof A. nie chciał jednak zeznawać. - Boję się o życie swoje i swojej rodziny - mówił i chciał, żeby usunięto z sali oskarżonych i publiczność. Ostatecznie stanął jednak przy barierce dla świadków. - Kontaktowali się ze mną różni ludzie. Dostałem instrukcję, jak mam zeznawać, nie wiem dokładnie od kogo - mówił, pokazując odpowiedni dokument, który trafił do sądowych akt. - Powiedzieli, że trzeba wyprostować to, co mówiłem wcześniej.

Świadek twierdził, że kontaktowali się z nim urzędnik magistratu i były milicjant (aresztowany w tej samej sprawie, co mecenas Adam K.). - Nagrałem kasetę ze spotkaniem z urzędnikiem - mówił. - Jest w tej chwili w prokuraturze.

O aresztowanym mecenasie Adamie K., który według prokuratury miał wymuszać od niego określone zeznania, świadek Krzysztof A. wczoraj nie wspominał. Dlaczego świadek zeznawał wczoraj inaczej niż wcześniej na policji (chodzi o udział w sprawie Pieti), sąd ustali na następnej rozprawie.

2001/02/10-2001/02/11, Grzegorz Praczyk, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 35, s. 1

Lublin. Afery w świecie prawniczym cd. Dyrektor zatrzymany przez UOP

Sąd zaaresztował wczoraj Andrzeja G., zastępcę dyrektora wydziału gospodarki komunalnej lubelskiego magistratu. Urzędnik zamieszany jest w opisywaną przez nas aferę korupcyjną w lubelskim świecie prawniczym.

Andrzej G., został zatrzymany przez Urząd Ochrony Państwa wczoraj rano, tuż przed wejściem do biurowca przy ul. Wieniawskiej, gdzie mieści się wydział gospodarki komunalnej. Po trwającym cały dzień przesłuchaniu prokuratura wystąpiła do sądu z wnioskiem o aresztowanie urzędnika.

Urzędnik przyznaje się częściowo

Jak poinformował w specjalnym komunikacie **Leopold Piętał**, rzecznik prasowy Prokuratury Apelacyjnej w Lublinie, która nadzoruje śledztwo, Andrzejowi G. przedstawiono kilka poważnych

zarzutów. Są one związane z wręczeniem łapówki pracownikowi prokuratury w Lubartowie, poplecznictwem wobec sprawców rozboju w Trzcińcu i złożeniem fałszywych zeznań w sądzie i prokuraturze.

Jak wynika z komunikatu prokuratury, Andrzej G. częściowo przyznał się do dokonania zarzuczanych mu czynów. Wczoraj wieczorem sąd podjął decyzję o aresztowaniu Andrzeja G. Według kodeksu karnego za korupcję, poplecznictwo i składanie fałszywych zeznań urzędnikowi grozi do ośmiu lat więzienia.

Chodzi o brutalny napad z kwietnia 1998 r., do którego doszło w Trzcińcu pod Lubartowem. Grupa pięciu mężczyzn, wśród których był syn zatrzymanego urzędnika, torturowała tam i okradła człowieka. Krótco po tym bandyci trafili do aresztu i zaczęli wzajemnie obrzucać się oskarżeniami.

Sprawy Trzcińca ciąg dalszy

To był początek afery w świecie prawniczym. W grudniu ub.r. aresztowano znanego lubelskiego adwokata Adama K. Mecenasa był obrońcą **Sławomira S.**, pseudonim Pietia, głównego oskarżonego w sprawie z Trzcińca. Według prokuratury adwokat próbował przekupić prokuratora oskarżającego jego klienta, a potem od innego prokuratora miał kupować akta tej sprawy.

Z kolei z sądowych zeznań byłego policjanta z Centralnego Biura Śledczego **Marcina L.** (od kwietnia ub.r. siedzi w areszcie za handel narkotykami) wynika, że w obronę syna urzędnika zaangażowali się zastępca naczelnika CBS w Lublinie Krzysztof M. i naczelnik wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie Jacek K. (19 grudnia ub.r. został zdymisjonowany z funkcji i jest szeregowym prokuratorem wydziału postępowania przygotowawczego). Ofiarą afery jest także szef Prokuratury Okręgowej w Lublinie Cezary Maj, który 19 grudnia stracił funkcję za brak nadzoru nad wydziałem, którym kierował prokurator Jacek K.

Przypomnijmy, że **Krzysztof M.** w wywiadzie dla „Gazety w Lublinie” częściowo potwierdził zeznania byłego policjanta. Funkcjonariusz ze specsłużb powiedział, że w jego wydziale „mogło dojść do nieformalnego spotkania urzędnika (chodzi o zatrzymanego wczoraj Andrzeja G. - przyp. red) z przebywającym w areszcie jego synem”.

Prokuratorzy przeciw prokuratorowi

Sprawę wzięła w swoje ręce **specjalna grupa prokuratorów**. Podlega ona wprost szefostwu prokuratur okręgowej i apelacyjnej w Lublinie. Osobiście nadzoruje ją też sam prokurator generalny i minister sprawiedliwości **Lech Kaczyński**.

Oprócz aresztowanych adwokata i urzędnika oraz naczelnika policyjnego specwydziału w sprawę zamieszanych jest kilka innych osób. Wśród nich prokurator z Lubartowa, który sprzedawał kserokopie akt i plan śledztwa w sprawie rozboju Trzcińca.

Sąd dyscyplinarny wobec **Maciej S.** uchylił prokursorski immunitet. Jeśli decyzja w tej sprawie się uprawomocni, wkrótce może on mieć przedstawione zarzuty. Nieoficjalnie wiadomo, że w areszcie przebywa także mężczyzna, który kupował od prokuratora akta śledztwa. Miał mu zapłacić za to 1,5 tys. zł.

2001/02/20, Grzegorz Praczyk, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 43, s. 1

Śledztwo do Krakowa. Prokuratura. Afera w świecie prawniczym

Śledztwo w sprawie opisywanej przez nas afery korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym trafiło do krakowskiej prokuratury. Zdecydował o tym minister sprawiedliwości **Lech Kaczyński**.

13 lutego br. Lech Kaczyński, minister sprawiedliwości a jednocześnie prokurator generalny, wydał zarządzenie, by postępowanie przygotowawcze w sprawie afery w lubelskim świecie prawniczym przekazać z Prokuratury Okręgowej w Lublinie do prokuratury krakowskiej.

Śledztwo rozpoczęło się w drugiej połowie listopada ub.r. po zeznaniach sądowych Marcina L., byłego funkcjonariusza Centralnego Biura Śledczego w Lublinie (polskie FBI), który od kwietnia 2000 r. przebywa w areszcie. Marcin L. został wezwany na świadka przez mecenasa Adama K. Chodziło o napad z 1998 r. w Trzcińcu pod Lubartowem, gdy pięciu bandytów pobiło i okradło człowieka. Jednym z podejrzanych był Sławomir S., pseudonim Pietia, który wynajął na obrońcę właśnie mecenasa Adama K.

Były policjant opowiadał w sądzie, w jaki sposób zastępca naczelnika lubelskiego CBS Krzysztof M., razem z ówczesnym szefem wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie **Jackiem K.** próbowali oczyścić z zarzutów innego oskarżonego w sprawie z Trzcianca Artura G., syna zastępcy dyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej Urzędu Miejskiego w Lublinie. Według zeznań byłego policjanta to właśnie urzędnik zwrócił się do policjanta i prokuratora z prośbą o pomoc dla syna.

Efekty trwającego trzy miesiące śledztwa zatrzęsły lubelskim światem prawniczym. W grudniu ub.r. aresztowano za wręczenie łapówki mecenasa **Adama K.** Tydzień później funkcję stracił prokurator Jacek K., a razem z nim stanowisko szefa Prokuratury Okręgowej w Lublinie Cezary Maj (chodziło o brak nadzoru). W styczniu br. immunitet prokuratorski stracił (postanowienie w tej sprawie nie jest prawomocne) prokurator z Lubartowa **Maciej S.** Miał on sprzedać za 1,5 tys. zł akta sprawy z Trzcianca mężczyźnie, który potem przekazał je mecenasowi Adamowi K. Dziesięć dni temu do aresztu trafił dyrektor Andrzej G. z lubelskiego magistratu, ojciec oskarżonego o napad w Trzciancu. W ostatni czwartek sąd odrzucił jego zażalenie na areszt, co oznacza, że spędzi on za kratkami co najmniej trzy miesiące.

Dlaczego minister Kaczyński zdecydował o przeniesieniu dochodzenia z Lublina do Krakowa **dopiero po trzech miesiącach?** - Lubelska prokuratura знаła sprawę i wykonała wstępne rozpoznanie. Przez cały czas ściśle kontrolowaliśmy wszelkie działania. Właśnie teraz doszliśmy do wniosku, że pewnych czynności nie powinni wykonywać lubelscy prokuratorzy. A wszystko po to, by uniknąć podejrzeń, że lubelska prokuratura prowadzi „swoją sprawę” - powiedziała nam Anna Kamińska, rzecznik prasowy ministra Lecha Kaczyńskiego. Przypomnijmy, że **w sprawę korupcji zamieszanych jest co najmniej dwóch lubelskich prokuratorów.**

W Krakowie śledztwo w sprawie korupcji w świecie prawniczym w **dalszym ciągu prowadzić będą prokuratorzy z Lublina, którzy sprawą zajmowali się dotychczas. Teraz ich decyzję będą zatwierdzać szefowie z Krakowa,** którzy nie znają lubelskiego światka prawniczego. Nieoficjalnie wiadomo, że w grupie z Lublina jest trzech bardzo młodych, odważnych prokuratorów z lubelskich prokuratur niższych szczebli, którzy zostali oddelegowani do Krakowa. Wczoraj, razem z aktami spraw dotyczącymi korupcji, udali się oni do tamtejszej prokuratury.

Prokuratura w Krakowie, oprócz tego śledztwa, równocześnie będzie prowadziła dochodzenie przeciwko policjantom z lubelskiego wydziału ds. zwalczania kradzieży samochodów. Przypomnijmy, że przed trzema tygodniami sąd w Lublinie aresztował na trzy miesiące trzech funkcjonariuszy z „grupy samochodowej”. Wcześniej prokurator zarzucił im przyjmowanie łapówek od złodziei.

2001/01/18, Grzegorz Praczyk, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 15, s. 3

Urzędnik, gliniarz, prokurator cd. Afera w świecie prawniczym

Minister sprawiedliwości Lech Kaczyński, po opisanej przez nas wczoraj aferze w lubelskim świecie prawniczym, informuje o toczącym się „bardzo intensywnym śledztwie” i zapowiada nowe decyzje.

- Prokuratura Generalna śledzi każdy nowy sygnał w sprawie lubelskiej - powiedziała nam **Anna Kamińska**, rzecznik prasowy ministra sprawiedliwości.

Bandyci wzięli się za łby

Wczoraj opisaliśmy kulisy procesu, który toczy się przed Sądem Okręgowym w Lublinie. Chodzi o brutalny napad z kwietnia 1998 r., do którego doszło w Trzciancu pod Lubartowem. Grupa mężczyzn torturowała tam i okradła człowieka. Na ławie oskarżonych zasiadło pięć osób. Wśród nich jest Artur G., syn wysokiego urzędnika lubelskiego magistratu i były kompan Ciola Sławomir S. zwany Pietią.

Kiedy bandyci trafili do aresztu, zaczęli wzajemnie obrzucać się oskarżeniami. To był początek. Przed miesiącem aresztowano obrońcę Pieti, znanego lubelskiego adwokata Adama K., który, zdaniem prokuratury, próbował przekupić prokuratora oskarżającego jego klienta, a potem od innego prokuratora miał kupować akta tej sprawy. Z kolei z sądowych zeznań byłego policjanta z Centralnego Biura Śledczego Marcina L. (od pół roku siedzi w areszcie za handel narkotykami) wynika, że w obronę syna urzędnika zaangażowali się zastępca naczelnika CBS w Lublinie **Krzysztof M.** i naczelnik wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie Jacek K. (19 grudnia został zdymisjonowany z funkcji).

Urzędnik policjanta się chwyta

Udało nam się dotrzeć do sądowych zeznań byłego funkcjonariusza, które nie zostały utajnione. 24 listopada ub.r. w Sądzie Okręgowym w Lublinie (występował tam jako świadek wezwany przez obrońcę Pieti) opowiadał, na czym, jego zdaniem, polegało zaangażowanie policjanta i prokuratora po stronie syna urzędnika.

Zdaniem Marcina L. w gmachu wydziału, którego szefem był podinspektor **Krzysztof M.**, **doszło do nieformalnego spotkania Artura G., (formalnie przebywał on w tym czasie w areszcie) z ojcem i żoną.** - Pan M. (chodzi o naczelnika Krzysztofa M. - przyp. red.) powiedział mi, że Artur G. ma złożyć takie wyjaśnienia, jakie są mu nasuwane. W tych wyjaśnieniach miał obciążyć Sławomira S. (chodzi o Pietię) - zeznał były policjant i dodał, że **podczas spotkania urzędnika z synem w policyjnym wydziale przebywał prokurator Jacek K.** Prokurator, zdaniem byłego funkcjonariusza, miał być dobrze wtajemniczony w sprawę tortur w Trzcińcu.

Jacek K. zaprzeczył wczoraj w rozmowie z „Gazetą”, jakoby w tym czasie w ogóle znał urzędnika magistratu i starał się mu pomóc.

Według Marcina L., naczelnik **Krzysztof M.** próbował pomóc synowi urzędnika także w inny sposób. Miał on dotrzeć w nieformalny sposób do innego oskarżonego o tortury w Trzcińcu Sławomira Ś., który w tym czasie się ukrywał. - Pan M. dał nam kartkę ze swoimi zapiskami i powiedział, by wręczyć to panu Ś. Mieliśmy przekonać go do tego, żeby w swoich wyjaśnieniach składanych w prokuraturze wybielał całkowicie Artura G. - utrzymywał w sądzie ekspolicjant.

W zamian za to ukrywający się Ś., według Marcina L., miał w ten sposób uniknąć aresztowania. Po złożeniu zeznań wyszedł na wolność po wpłaceniu 5 tys. zł poręczenia majątkowego.

- To nieprawda. Pan Marcin L. przypomina mi tonącego, który chwyta się brzytwy - powiedział nam podinspektor **Krzysztof M.**

Dziś w lubelskim Sądzie Okręgowym odbędzie się kolejna rozprawa o tortury w Trzcińcu. **Artur G.** będzie odpowiadał z wolnej stopy, a Pietia zostanie doprowadzony z aresztu śledczego.

A śledztwo idzie naprzód

W środę nasz tekst odsłaniający kulisy afery w lubelskim świecie prawniczym przeczytał minister sprawiedliwości Lech Kaczyński. Jego rzeczniczka **Anna Kamińska** przekazała nam, że Prokuratura Okręgowa w Lublinie prowadzi pod nadzorem lubelskiej Prokuratury Apelacyjnej „bardzo intensywne śledztwo”. Każdy nowy sygnał w śledztwie analizuje kierowana przez Kaczyńskiego Prokuratura Generalna. Ma ona w najbliższym czasie, jak ujęła to Anna Kamińska, „podjąć nowe decyzje”.

Przypomnijmy, że szefostwo prokuratury w ostatnim miesiącu zdymisjonowało naczelnika **Jacka K.**, jego bezpośredniego przełożonego prokuratora okręgowego w Lublinie Cezarego Maja (chodzi o brak nadzoru), a także zawiesiło w czynnościach prokuratora z Lubartowa **Macieja S.**, który jest podejrzewany o sprzedawanie prokuratorskich akt obrońcy Pieti.

Natomiast swoją funkcję zastępcy naczelnika Centralnego Biura Śledczego w Lublinie wciąż pełni podinspektor **Krzysztof M.**

Wczoraj oświadczenie w tej sprawie wydał rzecznik prasowy komendanta głównego policji Paweł Biedziak (lubelski CBS bezpośrednio podlega KGP). „Biuro Spraw Wewnętrznych KGP (policja w policji) już bada sprawę. Świadek (**chodzi o Marcina L.**) jest dla nas mało wiarygodny, niemniej każdy sygnał traktujemy poważnie, dlatego prowadzimy wyjaśnienia. Wyciągnięcie konsekwencji dyscyplinarnych będzie możliwe po zebraniu wiarygodnego materiału obciążającego” - napisał Biedziak.

Pomogłem urzędnikowi

Rozmowa z podinspektorem Krzysztofem M., zastępcą naczelnika Centralnego Biura Śledczego w Lublinie.

Jacek Brzuszkiewicz: Zna Pan wysokiego urzędnika lubelskiego magistratu Andrzeja G.?

Krzysztof M.: - Tak. Zwrócił się do mnie, prosząc o pomoc. Jego syn, chłopak z dobrego domu, trafił do aresztu za udział w pobiciu. Ojciec był zrozpaczony.

Znaliście się wcześniej?

- Nie. Prawdopodobnie przyszedł do mnie jak do policjanta. Pracuję w wydziale zajmującym się ścigananiem zorganizowanej przestępczości. Pewnie dlatego wybrał mnie.

Jak mu Pan pomógł?

- Jedyne co mogłem zrobić, to porozmawiać z Arturem G. Postawiłem sprawę jasno, że jedynym wyjściem, by wydostać się z tego bagna, będzie opowiedzenie całej prawdy prokuratorowi.

Ale to nie była sprawa prowadzona przez Pański wydział?

- Jako policjant miałem prawo wysłuchać każdego, kto do mnie przychodzi.

Czy w Pana wydziale doszło do nieformalnego spotkania przebywającego w areszcie Artura G. z ojcem?

- Dokładnie nie pamiętam, ale prawdopodobnie tak. Jeśli była taka rozmowa, to chodziło o nakłonienie Artura G. do złożenia zeznań.

Złamał Pan regulamin.

- Wszystko miało służyć jednemu. Wskazaniu przestępców, którzy brali udział w pobiciu w Trzcińcu.

Czy podczas nieformalnego spotkania Artura G. z ojcem w Pana wydziale przebywał prokurator Jacek K.?

- Od całej sprawy minęły już ponad dwa lata. Ale osobiście nie sądzę, by tak było.

Marcin L., Pana były podkomendny, twierdzi, że za jego pośrednictwem wpłynął Pan na Sławomira Ś., by wybielił w zeznaniach syna urzędnika.

- To nieprawda. Marcin L. wciąż siedzi w areszcie i to on chce się wybielić. Po prostu tonący brzytwy się chwyta.

Rozmawiał: **Jacek Brzuszkiewicz**

PS. Wczoraj rozmawiałem także z prokuratorem Jackiem K. Zaprzeczył on zeznaniom byłego policjanta. Jednak na większość pytań nie odpowiedział, zasłaniając się tajemnicą służbową.

2001/03/02, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 52, s. 3

Prokurator bez immunitetu. Lubartów. Afera w lubelskim świecie prawniczym

Maciej S., prokurator z Lubartowa, który jest podejrzewany o sprzedaż prokuratorskich akt, został wczoraj pozbawiony immunitetu. Teraz może zostać oskarżony i stanąć przed sądem.

Sprawa ma związek z opisywaną przez nas aferą w lubelskim świecie prawniczym. Przypomnijmy, że wszystko zaczęło się w kwietniu 1998 r. w Trzcińcu pod Lubartowem, gdzie pięciu bandytów skatowało mężczyznę. Wszyscy napastnicy zostali aresztowani. Był wśród nich syn **Andrzeja G.**, wysokiego urzędnika lubelskiego magistratu i Sławomir S., pseudonim Pietia, jeden z najbogatszych lubelskich Cyganów.

Andrzej G., ratując syna, miał zwrócić się o pomoc do Krzysztofa M., zastępcy naczelnika policyjnego Centralnego Biura Śledczego w Lublinie i Jacka K., szefa prokuratorskiego wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej (prokurator w grudniu ub.r. stracił stanowisko, podobnie jak szef Prokuratury Okręgowej w Lublinie Cezary Maj). Andrzej G., zastępca wydziału gospodarki komunalnej Urzędu Miejskiego w Lublinie został już aresztowany. Za kratkami siedzi też mecenas **Adam K.** który bronił drugiego z bandytów z Trzcińca **Sławomira S.**

Prokuratura zarzuca adwokatowi m.in. wręczenie łapówki - 1,5 tys. zł, za kserokopie akt sprawy dotyczącej napadu w Trzcińcu. Według prokuratury to właśnie 31-letni **Maciej S.**, prokurator z Lubartowa, umożliwił adwokatowi kupno kserokopii.

Przypomnijmy, że prokuratura wniosła o uchylenie immunitetu wobec Macieja S. jeszcze w styczniu. Sąd dyscyplinarny pierwszej instancji immunitet uchylił. Prokurator odwołał się. Wczoraj zapadła w tej sprawie prawomocna decyzja. Oznacza, że **Maciej S.** nie ma już immunitetu i można mu przedstawić zarzut, oskarżyć i postawić przed sądem.

Oprócz **Macieja S.** i byłego naczelnika **Jacka K.** w aferę w lubelskim świecie prawniczym zamieszanych jest jeszcze co najmniej dwóch prokuratorów z lubelskiej Prokuratury Okręgowej. Śledztwo w tej sprawie zostało przed dwoma tygodniami przekazane do prowadzenia Prokuraturze Okręgowej w Krakowie.

2001/04/06, Grzegorz Praczyk, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 82, s. 3

Prokurator za kratkami

Macieja S., prokuratora z Lubartowa, aresztował krakowski sąd za wzięcie łapówki i utrudnianie śledztwa. Od 1990 r. to pierwszy taki przypadek w lubelskim wymiarze sprawiedliwości.

31-letni prokurator spędzi za kratkami co najmniej dwa miesiące. O umieszczenie go w areszcie wnioskował wydział ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Krakowie. Zarzucono mu przyjęcie korzyści majątkowej w zamian za sprzedaż skserowanych akt jednej ze spraw, która toczyła się w lubartowskiej prokuraturze. **Maciej S.** miał za to wziąć 1,5 tys. zł. Drugi zarzut wobec prokuratora mówi o utrudnianiu prowadzonego śledztwa.

Czwartkowe aresztowanie prokuratora nie było proste. Na początku sąd dyscyplinarny musiał mu odebrać immunitet. Następnie decyzja sądu musiała się uprawomocnić.

Sprawa prokuratora **Macieja S.** ściśle wiąże się z opisywaną przez nas w styczniu i lutym aferą w lubelskim świecie prawniczym. Chodzi o słynny już napad w Trzcińcu, gdzie pięciu bandytów skatowało człowieka. Jednym z nich był syn zastępcy dyrektora wydziału gospodarki komunalnej lubelskiego Urzędu Miejskiego **Andrzeja G.** Urzędnik został już aresztowany pod zarzutem wpływania na bieg toczącej się sprawy. Za kratkami siedzi też mecenas **Adam K.**, który miał kupić od prokuratora **Macieja S.** akta sprawy. Po co? Adwokat bronił innego bandyty z Trzcińca, jednego z najbogatszych lubelskich Romów **Sławomira S.**, pseudonim **Pietia**.

Śledztwo w sprawie afery w lubelskim świecie prawniczym trafiło przed miesiącem do krakowskiej prokuratury. Z nieoficjalnych informacji wynika, że w ciągu dwóch miesięcy ma się zakończyć aktem oskarżenia. jb, gp

2001/04/18, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 91, s. 3

„Pietia” do więzienia. Z sądu. Skazujący wyrok w sprawie pobicia z Trzcińca

Sławomir S. ps. „Pietia” i czterej jego koledzy spędzą kilka lat w więzieniu za brutalne pobicie w podlubartowskim Trzcińcu - uznał wczoraj Sąd Okręgowy w Lublinie.

To przełom w głośnej sprawie korupcji w lubelskim wymiarze sprawiedliwości opisywanej przez „Gazetę”.

Na nic zdały się próby przekupstwa i utrudniania śledztwa podejmowane m.in. przez znanego lubelskiego adwokata **Adama K.** i wicedyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego magistratu **Andrzeja G.** (ojca oskarżonego w sprawie **Artura Grykałowskiego**). Obaj ich „podopieczni” otrzymali wczoraj wyroki więzienia.

Sokołowski znany w lubelskim świecie przestępczym i uznawany niegdyś za prawą rękę **Roberta K.** ps. „Ciolo”, uznany został przez sąd za „kierownika” tego, co działo się w Trzcińcu. Spędzi w więzieniu sześć lat. Taki sam wyrok otrzymał Andrzej Niedziałek, a o pół roku dłużej za kratkami posiedzi Leszek Czerwoniak (oprócz napadu skazano go jeszcze za nielegalne posiadanie broni). Pięć lat więzienia dostał **Sławomir Świerk**, a cztery i pół roku **Artur Grykałowski**.

Co się zdarzyło w Trzcińcu

Do mrozących krew w żyłach zdarzeń doszło 5 kwietnia 1998 roku w podlubartowskiej miejscowości Trzciniec. To właśnie tam pięciu skazanych wczoraj mężczyzn (Sokołowski, Grykałowski, Niedziałek, Świerk i Czerwoniak) podstępnie wywabiło swoją ofiarę, znanego im wcześniej Krzysztofa A. Sąd nie ustalił dokładnie, co było powodem zatargu. Według jednej z wersji chodziło o „trefny” samochód, który Krzysztof A. miał podarować krewnemu Sokołowskiego. Według innej - o pieniądze za działkę budowlaną.

Zwabiony pod pozorem okazijnego kupna samochodu Krzysztof A. został wciągnięty przez napastników do stodoły (zabudowania w Trzcińcu należały do Czerwoniaka). Tam bandyci bili go

pięściami, kopali, tłukli trzonkiem od siekiery, metalowym pilnikiem. Kiedy Krzysztof A. próbował się uwolnić, oprawcy spryskali mu twarz gazem obezwładniającym. Grykałowski założył na szyję ofiary pętlę, przewiesił sznurek przez belkę stropową i podciągnął do góry Krzysztofa A. Bandy ci bili go dalej. Grozili śmiercią, wkładając lu fę dubeltówki do ust.

W międzyczasie na miejscu pojawił się wezwany telefonicznie Sokołowski, który przyłączył się do bicia, używając do tego m.in. swojej kuli rehabilitacyjnej. Bandy ci zabrali Krzysztofowi A. pieniądze - 12 tysięcy złotych, 600 dolarów, 100 marek i telefon komórkowy. Zażądali wydania dalszych pieniędzy i odwieźli do Lublina.

Krzysztof A. poszedł na policję i poinformował o wszystkim funkcjonariuszy. Wkrótce bandy ci znaleźli się za kratkami.

Za co mnie pan skazał?

Sąd uznał, że to właśnie Sokołowski zaplanował i zlecił realizację napadu na Krzysztofa A. Tak wynikało z pierwszych zeznań pokrzywdzonego, a także z części wyjaśnień oskarżonych. - Za co mi pan dał sześć lat? Specjalnie żeście mnie wrobili! - krzyczał Sokołowski po usłyszeniu wyroku. Głośno wyrażał swoje niezadowolenie na widok fotoreporterów robiących mu zdjęcia.

Za zakłócanie porządku wyprowadzono go z sali. Po chwili wyszedł z niej jego mecenas, występujący w zastępstwie aresztowanego adwokata **Adama K.**

Pozostali skazani wyrok przyjęli z rezygnacją. Siedzieli spokojnie, kiedy przewodniczący składu sędziowskiego **Mirosław Styk** ogłaszał motywy takiego rozstrzygnięcia.

Różnica kar, jakie orzekł sąd, wynika głównie z tego, że **Sokołowski, Niedziałek i Czerwoniak** byli już wcześniej karani za podobne przestępstwa. Sąd wymierzył Arturowi Grykałowskiemu karę wyższą niż proponował prokurator (chciał czterech lat) ponieważ uznał, że działał najbrutalniej ze wszystkich sprawców. - To on trzymał sznur i bił Krzysztofa A. najbardziej dotkliwie - mówił sędzia **Styk**.

W chwilę po wyroku sąd zdecydował o aresztowaniu **Grykałowskiego i Czerwoniaka**, którzy odpowiadali na procesie z wolnej stopy. Mężczyźni przeczuwali taki rozwój wydarzeń, bo nie pojawili się na ogłoszeniu wyroku.

Sąd pozwolił wczoraj na publikację danych personalnych i ujawnienie wizerunków oskarżonych.

Wczorajszy wyrok jest nieprawomocny. Strony mogą odwołać się od niego do Sądu Apelacyjnego.

Trzciniac początkiem prawniczej afery

Sprawa napadu w Trzcińcu stała się początkiem opisywanej już przez „Gazetę” afery w lubelskim świecie prawniczym. W połowie grudnia ubiegłego roku aresztowano znanego lubelskiego adwokata, mecenasa **Adama K.** W sprawie trzciniackiej bronił on głównego oskarżonego Sławomira Sokołowskiego. Zarzut, jaki postawiono mecenasowi, to m.in. próba skorumpowania funkcjonariusza publicznego. Nieoficjalnie wiadomo, że chodzi o oskarżającego w sprawie z Trzcińca prokuratora z Lubartowa.

Zarzuty postawione mecenasowi to także nakłanianie do składania fałszywych zeznań i wywieranie brutalnego wpływu na świadka. Chodzi o pokrzywdzonego z Trzcińca Krzysztofa A. Nieoczekiwanie bardzo szybko zmienił on swoje zeznania, twierdząc, że Sokołowski nie brał udziału w biciu. Sąd mu jednak nie uwierzył i wziął za podstawę wczorajszego skazania to, co **Krzysztof A.** mówił tuż po zajściu na policji.

Działania adwokata **Adama K.** to nie jedyne nieprawidłowości w sprawie z Trzcińca. Niedługo po mecenasie aresztowano **Andrzeja G.**, wicedyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego ratusza, ojca oskarżonego w sprawie Artura Grykałowskiego. Jemu także przedstawiono zarzuty związane z matactwami w sprawie trzciniackiej. Sam pokrzywdzony z Trzcińca twierdził na sali sądowej, że urzędnik magistratu próbował wymusić na nim zmianę zeznań.

Krąg aresztowanych w sprawie afery z Trzcińca uzupełnił ostatnio prokurator **Maciej S.** z Prokuratury Rejonowej w Lubartowie. Aresztowanie go było możliwe po wcześniejszym odebraniu mu immunitetu. Prokuratorowi zarzuca się sprzedaż za 1,5 tysiąca złotych akt sprawy trzciniackiej i utrudnianie śledztwa.

Śledztwo w sprawie matactw w lutym tego roku przekazane zostało do Prokuratury Okręgowej w Krakowie. Nieoficjalnie wiadomo, że powinno się ono zakończyć w ciągu kilku tygodni aktem oskarżenia. gp

Niewyjaśniony wątek?

Niewyjaśniony jest inny wątek dotyczący mactw wokół sprawy Trzcinka. **Marcin L.** eks-policjant, zamieszany w handel narkotykami, zeznawał w sądzie jako świadek w listopadzie ubiegłego roku jeszcze przed aresztowaniem adwokata Adama K. i dyrektora Andrzeja G. Powiedział, że w sprawę korzystniejszego przedstawienia działań **Artura Grykałowskiego**, niż to było w rzeczywistości zamieszane były także inne osoby. **Oprócz ojca skazanego mężczyzny świadek wymienił także wysokiego funkcją lubelskiego prokuratora z Prokuratury Okręgowej oraz zastępcę naczelnika lubelskiego Centralnego Biura Śledczego.** Pośrednikiem między nimi miał być znany lubelski dziennikarz.

Prokurator i policjant w rozmowie z dziennikarzami „Gazety” określili zeznania Marcina L. jako wysane z palca.

Pod koniec ubiegłego roku minister Kaczyński na wniosek prokuratora apelacyjnego Włodzimierza Blajerskiego odwołał opisywanego przez Marcina L. prokuratora z pełnionej przez niego funkcji szefa wydziału ds. przestępczości zorganizowanej. Wraz z nim funkcję stracił szef całej prokuratury (chodziło o brak nadzoru). Rzecznik prokuratury powiedział jedynie, że „dymisja ma związek ze stratą zaufania do prokuratorów”. **gp**

2001/06/08, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 133, s. 1

Prokurator na wolności

Podejrzewany o korupcję prokurator z Lubartowa **Maciej S.** wyjdzie na wolność za poręczeniem majątkowym. Zdecydował o tym wczoraj lubelski sąd.

Na wczorajszym posiedzeniu Sąd Okręgowy rozpatrywał zażalenie 31-letniego Macieja S. na wcześniejszą decyzję o przedłużeniu jego aresztowania, podjętą pod koniec maja przez Sąd Rejonowy. Zgodnie z nią prokurator miał zostać w areszcie jeszcze przez co najmniej dwa miesiące. Wczoraj sąd uznał jednak, że dalsze aresztowanie Macieja S. jest niecelowe. Zmienił środek zapobiegawczy na poręczenie majątkowe w kwocie 10 tys. zł i zakazał mu opuszczenia kraju.

Prokurator **Maciej S.** jest jednym z bohaterów opisywanej przez „Gazetę” afery w lubelskim świecie prawniczym. To on miał w zamian za 1,5 tys. zł przekazać lubelskiemu adwokatowi Adamowi K. akta prowadzonej przez jego koleżankę sprawy rozboju. Po co? Mecenas K. bronił sprawcy rozboju, jednego z najbogatszych lubelskich Romów **Sławomira S. ps. „Pietia”**.

Prokuratora Macieja S. aresztowano w kwietniu. Było to możliwe dzięki odebraniu mu immunitetu przez prokuratorski sąd dyscyplinarny w marcu tego roku.

2001/08/01, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 178, s. 3

Prawnicy oskarżeni. Z sądu. Akt oskarżenia w sprawie afery korupcyjnej w świecie prawniczym

Prokurator, adwokat i były wiceszef wydziału w Urzędzie Miejskim zasiądą na ławie oskarżonych w lubelskim sądzie. Trafił tam właśnie akt oskarżenia w sprawie opisywanej przez „Gazetę” afery korupcyjnej w świecie prawniczym.

Sprawa, którą wielokrotnie opisywaliśmy w „Gazecie”, jest jak do tej pory, najpoważniejszą aferą korupcyjną ujawnioną na Lubelszczyźnie. Śledztwo prowadziła krakowska Prokuratura Okręgowa, która wczoraj wysłała do lubelskiego sądu akt oskarżenia. **Dotyczy on sześciu osób.** Wśród nich są lubelski adwokat Adam K., prokurator **Maciej S.**, były wicedyrektor wydziału gospodarki komunalnej lubelskiego magistratu Andrzej G. Oprócz nich oskarżono jeszcze trzy inne osoby. - **Żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy** - mówi prokurator Joanna Kowalska, rzecznik prasowa krakowskiej Prokuratury Okręgowej. - Niektórzy z nich potwierdzili tylko, że pewne okoliczności podawane przez prokuraturę miały miejsce.

Początek w Trzcinku

Wszystko zaczęło się od rozboju w podlubartowskim Trzcinku w kwietniu 1998 roku. Pięciu młodych mężczyzn (niektórzy wcześniej dobrze znani organom ścigania) pobiło tam Krzysztofa A. Twierdzili, że ich oszukał. Zabrali mężczyźni 12 tysięcy złotych, kilkaset dolarów, 100 marek, telefon komórkowy.

Krzysztof A. o wszystkim doniósł policji. Wkrótce bandyci znaleźli się za kratkami. Byli wśród nich **Sławomir Sokołowski ps. „Pietia”**, dobry znajomy **Roberta K. ps. „Ciolo”** i **Artur Grykałowski**, syn urzędnika lubelskiego magistratu.

Sprawą rozboju w Trzcińcu zajęła się lubartowska prokuratura. Wkrótce akt oskarżenia w sprawie rozboju w Trzcińcu wpłynął do lubelskiego Sądu Okręgowego. Na rozprawie jeden z oskarżonych powiedział, że w lubartowskiej prokuraturze można było kupić akta sprawy. Sąd poinformował o tym Prokuraturę Okręgową w Lublinie, która ustaliła, że aktami handlował prokurator **Maciej S.** Za tysiąc złotych sprzedał je Pawłowi T. Ten przekazał akta lubelskiemu adwokatowi Adamowi K., obrońcy oskarżonego w sprawie o rozbój Sławomira Sokołowskiego. Mecenas Adam K. trafił do aresztu w grudniu ubiegłego roku. Prokurator **Maciej S.** w kwietniu tego roku, po tym jak prokuratorski sąd dyscyplinarny uchylił mu immunitet.

Sąd się nie nabrał

To jednak nie wszystko. Śledztwo w sprawie nieprawidłowości w sprawie trzcinieckiej nabierało tempa. Okazało się, że innemu oskarżonemu, Arturovi Grykałowskiemu próbowano pomagać podobnie jak Sokołowskiemu - poprzez nakłanianie pobitego Krzysztofa A. do składania fałszywych zeznań. Wkrótce do aresztu trafił ojciec Grykałowskiego, urzędnik lubelskiego Urzędu Miejskiego Andrzej G., który najpierw miał działać wspólnie z adwokatem Adamem K. Później drogi obu panów się rozeszły i każdy mataczył na rzecz swojego podopiecznego.

Tymczasem w sprawie sądowej o rozbój w Trzcińcu pobity **Krzysztof A.** zmieniał swoje zeznania z rozprawy na rozprawę. Sąd jednak nie uwierzył w to, co **Krzysztof A.** mówił na rozprawie i za wiarygodne uznał to, co pobity powiedział policji tuż po zdarzeniu.

W kwietniu wydał wyrok. Wszyscy oskarżeni otrzymali bezwzględne kary więzienia. Wyrok jest nieprawomocny. Sąd pozwolił na ujawnienie personaliów skazanych.

Więzenie dla adwokata?

Akt oskarżenia w sprawie mactw trafił wczoraj po południu do Sądu Rejonowego. Za wymienione w dokumencie czyny wszystkim oskarżonym grożą kary bezwzględnego więzienia.

Zanim sprawa sądowa się zacznie, sąd będzie musiał podjąć decyzję, czy czterech oskarżonych, którzy do tej pory siedzą w areszcie, dalej tam pozostanie. Termin aresztowania upływa całej czwórce 9 sierpnia.

Oskarżenia i zarzuty

Maciej S. - 31-letni prokurator, przed aresztowaniem pracował w Prokuraturze Rejonowej w Lubartowie. Krakowska prokuratura oskarżyła go o to, że **przyjął tysiąc złotych łapówkę** w zamian za przekazanie kopii dokumentów prokuratorskich. Na ich podstawie sporządzane były „instrukcje” dla świadków. Prokurator jest też oskarżony o utrudnianie toczącego się w prokuraturze postępowania karnego. **Maciej S.** siedział w areszcie od kwietnia do czerwca. Wyszedł za poręczeniem majątkowym.

Adam K. - przed aresztowaniem znany lubelski adwokat. Na nim ciążyą najpoważniejsze zarzuty: usiłowanie udzielenia korzyści majątkowej w formie artykułów spożywczych i alkoholu innemu prokuratorowi z Lubartowa, pomoc sprawcom rozboju z Trzcińca w uniknięciu odpowiedzialności karnej, nakłanianie świadka do składania fałszywych zeznań (przekazywanie pisemnych „instrukcji” jak ma zeznawać). Adwokat siedział w areszcie od grudnia ubiegłego roku do czerwca. Wyszedł za poręczeniem majątkowym i osobistym Okręgowej Rady Adwokackiej i profesora prawa na UMCS Krzysztofa Chorążego.

Andrzej G. - do niedawna wicedyrektor Wydziału Gospodarki komunalnej lubelskiego magistratu, ojciec skazanego na więzienie za rozbój w Trzcińcu Artura Grykałowskiego (poszukiwanego listem gończym, po tym jak nie stawiał się do więzienia). Prokuratura zarzuca byłemu urzędnikowi pomoc w uniknięciu odpowiedzialności karnej sprawcom rozboju poprzez namawianie do składania fałszywych zeznań, ułatwienie wręczenia łapówki, złożenie fałszywych zeznań w toku postępowania przygotowawczego i sądowego. Andrzej G. jest w areszcie od lutego.

Paweł T. - to on, zdaniem krakowskiej prokuratury, wręczył tysiąc złotych prokuratorowi Maciejowi S. Oprócz łapownictwa postawiono mu zarzut utrudniania postępowania karnego. Paweł T. od stycznia przebywa w areszcie.

Wojciech K. i Marek B. - obaj mężczyźni, zdaniem prokuratury, pomagali głównym inicjatorom mactw w sprawie Trzcianca. To oni mieli grozić pokrzywdzonemu i nakłaniać go do zmiany zeznań. Marek B. posługiwał się przy tym podrobioną legitymacją policyjną. Obaj mężczyźni siedzą za kratkami.

Niewyjaśnione wątki

Wątek pomocy oskarżonym w sprawie z Trzcianca to nie jedyny, którym zajmuje się krakowska prokuratura. - Do odrębnego postępowania wyłączono kilka wątków - potwierdza prokurator Joanna Kowalska. - Dotyczą one udziału innych osób w mactwach wokół sprawy, przekroczenia uprawnień przez osobę pełniącą funkcję publiczną i innych zdarzeń dotyczących śledztwa.

Czego mogą dotyczyć dodatkowe wątki? Prokurator **Kowalska** nie ujawnia szczegółów. Wiadomo jednak, że w listopadzie ubiegłego roku na sprawie z Trzcianca zeznawał jako świadek Marcin L. - ekspolicjant, zamieszany w sprawę handlu narkotykami. Powiedział, że w sprawę korzystniejszego przedstawienia w sprawie Artura Grykałowskiego zamieszane były inne osoby: wysoki prokurator Prokuratury Okręgowej w Lublinie i zastępca naczelnika lubelskiego Centralnego Biura Śledczego. Pośrednikiem przy kontaktach ojca Grykałowskiego z prokuratorem i policjantem miał być znany lubelski dziennikarz. Prokurator i policjant w rozmowie z „Gazetą” określili zeznania Marcina L. jako „wysane z palca”. Pod koniec ubiegłego roku minister sprawiedliwości odwołał prokuratora z pełnionej przez niego funkcji szefa wydziału ds. przestępczości zorganizowanej. Tłumaczył to oficjalnie „stratą zaufania”. W lutym sprawę mactw wokół rozboju w Trzciancu przekazano z Lublina do krakowskiej Prokuratury Okręgowej.

2001/08/03, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 180, s. 3

Mecenas sobą nie kierował. Z sądu. Adam K. będzie mógł liczyć na złagodzenie kary

Oskarżony o przekupstwo prokuratora adwokat Adam K. będzie mógł liczyć na złagodzenie kary. Dlaczego? **Psychiatrzy** orzekli, że w czasie dokonywania przestępstw nie był w stanie kierować swoim działaniem.

Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, według opinii psychiatrycznej sporządzonej przez biegłych lekarzy do sprawy afery korupcyjnej w świecie prawniczym, znany lubelski adwokat **Adam K.** miał w chwili popełniania przestępstw bardzo ograniczoną zdolność do pokierowania swoim postępowaniem. Taka opinia znajduje się w aktach sprawy. Prokuratura uwzględniła ten fakt przy sporządzaniu aktu oskarżenia.

Co to oznacza w praktyce? Zgodnie z kodeksem karnym, jeżeli w czasie popełnienia przestępstwa zdolność „kierowania postępowaniem była w znacznym stopniu ograniczona, sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary”. Mecenas Adam K. jest oskarżony o usiłowanie przekupstwa prokuratora, nakłanianie świadka do składania fałszywych zeznań i utrudnianie śledztwa. Grozi mu nawet osiem lat więzienia. Jeśli sąd przy ewentualnym wymierzaniu kary wzięby pod uwagę opinię biegłych psychiatrów, mecenas otrzymałby symboliczny wyrok.

Przypomnijmy. Prokuratura Okręgowa przesłała we wtorek do lubelskiego Sądu Rejonowego akt oskarżenia przeciwko sześciu osobom zamieszany w wielokrotnie opisywaną przez „Gazetę” aferę korupcyjną w lubelskim świecie prawniczym. Wśród sześciu oskarżonych osób jest adwokat Adam K., prokurator z Lubartowa **Maciej S.** i były wicedyrektor wydziału w Urzędzie Miasta Andrzej G. Wszystkim prokuratura zarzuciła mactwa w śledztwie dotyczącym pięciu sprawców rozboju w podlubartowskim Trzciancu (był wśród nich syn urzędnika magistratu). Mecenas K. miał m.in. próbować przekupić prokuratora i sporządzić „instrukcję” z zeznaniami, jakie miał złożyć pokrzywdzony w rozboju. Adwokat nie przyznaje się do winy.

Ale to nie koniec śledztw. **Krakowska prokuratura wyłączyła ze sprawy dotyczącej Trzcianca szereg wątków, które przerodziły się w odrębne postępowania.** Jeden z nich dotyczy sprawy ewentualnego przekroczenia uprawnień przez wiceszefa lubelskiego Centralnego Biura Śledczego Ryszarda M. i nie wymienionych z nazwiska prokuratorów Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Prokuratura bada, czy nie podejmowali oni bezprawnych działań w celu wypuszczenia na wolność oskarżonego w sprawie z Trzcianca syna urzędnika i umniejszenia jego roli w rozboju.

2001/08/11-2001/08/12, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie, nr 187, s. 4

Afera całkiem kosztowna? Z sądu.

Krzysztof A., którego w kwietniu 1998 roku w podlubartowskim Trzcińcu pobito pięciu mężczyzn, **chce od bandytów ponad 230 tys. zł odszkodowania.**

Wśród pozwanych jest m.in. Artur Grykałowski, syn oskarżonego o matactwa właśnie w tej sprawie byłego wiceszefa wydziału w lubelskim Urzędzie Miasta, i Sławomir Sokołowski, ps. Pietia, osobnik znany w przestępczym półświatku.

Krzysztof A. został przez nich wywieziony i pobity, ponieważ bandyci twierdzili, że nie rozliczył się z nimi z wcześniejszych interesów. Napastnicy zabrali swojej ofierze pieniądze i wartościowe przedmioty. Kiedy Krzysztof A. doniósł o wszystkim na policję, skradzione przedmioty „odnalazły się przypadkiem” w jego samochodzie.

W pozwie, który **Krzysztof A.** złożył w lubelskim Sądzie Okręgowym domaga się on 233 tys. zł odszkodowania. Twierdzi, że na skutek pobicia zmuszony był przerwać działalność gospodarczą, która przynosiła mu duże dochody. Odczuwa też zaburzenia psychiczne i nie jest w stanie podjąć pracy.

Rozbój w Trzcińcu stał się początkiem największej afery korupcyjnej, jaka do tej pory wyszła na jaw w lubelskim wymiarze sprawiedliwości. Obrońca jednego z oskarżonych mecenas Adam K. wraz z ojcem Artura Grykałowskiego, ówczesnym wiceszefem wydziału lubelskiego Urzędu Miasta zostali oskarżeni przez prokuraturę o matactwa wokół sprawy. Dołączył do nich prokurator z Lubartowa **Maciej S.** oskarżony o sprzedaż akt sprawy. To właśnie oni - zdaniem prokuratury - nakłaniali Krzysztofa A. do zmiany zeznań. Na rozprawie w sądzie Krzysztof A. umniejszył rolę „Pietia” w pobiciu. Sąd jednak w to nie uwierzył i skazał wszystkich bandytów na kary więzienia. Obecnie toczy się przeciw Krzysztofowi A. odrębne postępowanie w sprawie składania fałszywych zeznań.

2001/08/21, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 194, s. 1

Nie chcą sędzić kolegi. Z sądu. Lubelscy sędziowie wyłączają się ze sprawy afery

Już dwoje sędziów lubelskiego Sądu Rejonowego oświadczyło, że nie chce sędzić sprawy afery korupcyjnej w lubelskim świątku prawniczym. Podobnie zapowiadają inni sędziowie.

Wszyscy argumentują to znajomością z oskarżonymi w sprawie - lubartowskim prokuratorem i lubelskim adwokatem. Jeśli żaden z sędziów lubelskiego sądu nie zechce osądzić sprawy afery, być może sprawa zostanie przeniesiona do innego sądu. Gdzie? Zdecydować może o tym nawet Sąd Najwyższy.

Sprawa dotyczy opisywanych wiele razy przez „Gazetę” matactw wokół rozboju w podlubartowskim Trzcińcu w 1998 roku. Sześć oskarżonych osób (w tym znany lubelski adwokat Adam K., lubartowski prokurator **Maciej S.**, były wicedyrektor wydziału w Urzędzie Miasta Andrzej G.) próbowało - zdaniem prokuratury - umniejszyć rolę w dokonaniu rozboju kilku osób, w tym syna dyrektora. Z aktu oskarżenia wynika, że prokurator za łapówkę „wyniósł z prokuratury” akta toczącej się sprawy, oskarżeni zastraszaali też świadka - pokrzywdzonego w sprawie rozboju. Nie udało im się niczego osiągnąć. Sąd nieprawomocnym wyrokiem skazał wszystkich oskarżonych na kary więzienia, a mecenas, prokurator i dyrektor trafili na pewien czas do aresztu.

Akt oskarżenia przeciwko nim trafił do lubelskiego Sądu Rejonowego. Zgodnie z przepisami o tym, kto z sędziów ma sędzić sprawę, decyduje przewodniczący wydziału, do którego sprawa trafiła.

Pierwszy sędzia, któremu przydzielono matactwa z Trzcińca, złożył wniosek o wyłączenie go z sądenia tej sprawy. Argumentował to tym, że dobrze zna oskarżonych. Podobnie było z sędzią, która otrzymała sprawę po nim. Nie chce jej sędzić, ponieważ studiowała na roku, a potem robiła aplikację wspólnie z oskarżonym prokuratorem **Maciejem S.**

Kiedy rozstrzygną się losy sprawy? Być może dopiero za kilka tygodni. Jeśli wszyscy sędziowie w Sądzie Rejonowym złożą wnioski o wyłączenie ich z sądenia sprawy, trafi ona do Sądu Okręgowego w Lublinie. Ten zdecyduje czy powody podawane przez sędziów są wystarczające. Jeżeli tak uzna, to może przekazać sprawę matactw do innego sądu w zasięgu swojej jurysdykcji (województwo lubelskie

z wyłączeniem Zamojszczyzny). Niewykluczone, że o dalszym losie sprawy zadecyduje Sąd Najwyższy. Być może przekaże ją do innego sądu w Polsce.

2001/08/30, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 202, s. 3

Afera zostanie w Lublinie

Sąd Rejonowy w Lublinie osądzi sprawę afery korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym, w której oskarżeni są m.in. lubelski adwokat i lubartowski prokurator.

Trzeci z kolei sędzia, któremu sprawę przekazał przewodniczący wydziału, zdecydował się ją przyjąć. Wcześniej sądenia sprawy afery korupcyjnej odmówiło dwoje sędziów. Oboje tłumaczyli odmowę tym, że bardzo dobrze znają oskarżonych, razem z nimi pracowali. Podobne deklaracje składali kolejni sędziowie. Groziło nawet, że sprawa zostanie przekazana z Lublina do innego sądu.

Ostatecznie sprawę osądzi jednak lubelski sędzia. Na razie jest na etapie zapoznawania się z aktami. Rozpoczęcia procesu można się spodziewać nie wcześniej niż za kilka miesięcy.

Sprawa wielokrotnie opisywanej przez „Gazety w Lublinie” afery dotyczy matactw wokół sprawy rozboju w podlubartowskim Trzcińcu w kwietniu 1998 roku. O nieformalne działania, polegające m.in. na zastraszeniu świadka i handel prokuratorскими aktami oskarżeni są m.in. znany lubelski adwokat Adam K., lubartowski prokurator **Maciej S.** i były wiceszef wydziału w lubelskim magistracie Andrzej G.

2001/10/15, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 241, s. 3

Z sądu. Mecenas przed sądem.

Już wiadomo, kiedy odbędzie się pierwsza rozprawa w sprawie wielokrotnie opisywanej przez media afery korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym. Sąd Rejonowy w Lublinie, przed którym toczyć się będzie proces, wyznaczył pierwszy termin sprawy na 7 listopada. Przypomnijmy, że na ławie oskarżonych zasiądą tego dnia znany lubelski adwokat Adam K., prokurator z lubartowskiej Prokuratury Rejonowej **Maciej S.**, były dyrektor jednego z wydziałów w lubelskim Urzędzie Miejskim Andrzej G., a także kilku innych mężczyzn. Wszyscy oskarżeni są o matactwa wokół śledztwa w sprawie jednego z rozbojów. Będzie to pierwszy na Lubelszczyźnie proces o matactwa, w którym oskarżonymi są adwokat i prokurator.

2001/11/07, Jacek Brzuszkiewicz, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 260, s. 3

Adwokat i prokurator na ławie oskarżonych. Rozpoczyna się najważniejszy proces ostatnich lat

Maciej S. - 31-letni prokurator, przed aresztowaniem pracował w Prokuraturze Rejonowej w Lubartowie i syn znanego profesora z UMCS. Krakowska prokuratura oskarżyła go o to, że przyjął tysiąc złotych łapówki w zamian za przekazanie kopii dokumentów prokuratorских. Na ich podstawie sporządzane były instrukcje dla świadków. Prokurator jest też oskarżony o utrudnianie toczącego się w prokuraturze postępowania karnego. Maciej S. siedział w areszcie od kwietnia do czerwca. Wyszedł za poręczeniem majątkowym.

Adam K. - znany lubelski adwokat, w połowie lat 90. bronił trzech braci G., oskarżonych i skazanych za wyłudzenie ze Wschodniego Banku Cukrownictwa SA 2,5 mln zł. W procesie korupcyjnym ciężą na nim najpoważniejsze zarzuty: usiłowanie udzielenia korzyści majątkowej innemu prokuratorowi z Lubartowa, pomoc sprawcom rozboju z Trzcińca w uniknięciu odpowiedzialności karnej, nakłanianie świadka do składania fałszywych zeznań. Adwokat siedział w areszcie od grudnia ubiegłego roku do czerwca. Wyszedł za poręczeniem majątkowym i osobistym Okręgowej Rady Adwokackiej i profesora prawa na UMCS Krzysztofa Chorażego.

Andrzej G. - jeszcze na początku roku wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego magistratu, a w przeszłości szef wydziału planowania, ojciec skazanego na więzienie za rozboj w Trzcińcu Artura G. Prokuratura zarzuca byłemu urzędnikowi pomoc w uniknięciu odpowiedzialności karnej sprawcom rozboju poprzez namawianie do składania fałszywych zeznań, ułatwienie wręczenia łapówki, złożenie fałszywych zeznań w toku postępowania przygotowawczego i sądowego. Andrzej G. jest w areszcie od lutego.

Proces w sprawie afery korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym rozpocznie się dziś przed Sądem Rejonowym w Lublinie.

Rozprawa, z uwagi na nazwiska i funkcje, które pełnili oskarżeni, określana jest mianem procesu dekady. Na ławie oskarżonych zasiądzie sześć osób: wśród nich znany lubelski adwokat Adam K., były dyrektor wydziału gospodarki komunalnej Urzędu Miejskiego w Lublinie Andrzej G. i prokurator z Lubartowa Maciej S.

Mecenas Adam K. trafił do aresztu w grudniu ub.r., a prokurator Maciej S. pięć miesięcy później, po tym jak prokuratorski sąd dyscyplinarny uchylił mu immunitet.

Mecenas bronił Pietę, a urzędnik syna. To jednak nie wszystko. Śledztwo w sprawie nieprawidłowości w sprawie z Trzcianca nabierało tempa. Okazało się, że innemu oskarżonemu, tak jak „Pietii”, także próbowano pomagać. Chodzi o syna urzędnika z magistratu Artura G. W jaki sposób? Poprzez nakłanianie pobitego w Trzciancu Krzysztofa A. do składania fałszywych zeznań.

Wkrótce po tym do aresztu trafił ojciec Artura G., który najpierw miał działać wspólnie z adwokatem Adamem K. Później drogi obu panów się rozeszły i każdy mataczył na rzecz swojego podopiecznego.

Tymczasem w sprawie sądowej o rozbój w Trzciancu pobity Krzysztof A. zmieniał swoje zeznania z rozprawy na rozprawę. Sąd jednak nie uwierzył w to, co Krzysztof A. mówił na rozprawie i za wiarygodne uznał to, co pobity powiedział policji tuż po zdarzeniu.

W kwietniu br. wydał wyrok. Wszyscy oskarżeni otrzymali bezwzględne kary więzienia. Wyrok jest nieprawomocny, a sąd pozwolił na ujawnienie nazwisk skazanych.

Więzenie dla adwokata? Oprócz mecenasa, prokuratora i urzędnika na ławie oskarżonych zasiądą jeszcze trzy inne osoby zamieszane w korupcję. - Żaden z oskarżonych nie przyznał się do winy - tłumaczy prokurator Joanna Kowalska z krakowskiej Prokuratury Okręgowej. - Niektórzy z nich potwierdzili tylko, że pewne okoliczności podawane przez prokuraturę miały miejsce.

Ciężar gatunkowy rozpoczynającej się dziś rozprawy wzrasta z uwagi na nazwiska świadków. Jest wśród nich były szef Prokuratury Rejonowej dla miasta Lublina, naczelnik prokuratorskiego wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej, jeden z szefów policyjnego oddziału Centralnego Biura Śledczego w Lublinie, a także znany lubelski dziennikarz.

2001/11/08, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 261, s. 1

Między nami mataczami. Z sądu. Proces w sprawie afery korupcyjnej w środowisku prawniczym

Lubelski adwokat przyznał wczoraj w sądzie, że posługiwał się aktami uzyskanymi za łapówkę od prokuratora z Lubartowa.

Mecenas K. przyznał też, że sporządził instrukcję jak ma zeznawać pokrzywdzony w sprawie, w której oskarżony był klient mecenasa Sławomir Sokołowski ps. Pietia. Adwokat obciążył swoimi wyjaśnieniami pozostałych współoskarżonych.

Prokurator adwokatowi...

Wczoraj rozpoczął się proces w sprawie afery korupcyjnej w świecie prawniczym. Największa sala rozpraw lubelskiego Sądu Rejonowego zgromadziła tłumy dziennikarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych. Na ławie oskarżonych zasiedli znany lubelski adwokat Adam K., prokurator z Lubartowa **Maciej S.**, były wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego magistratu Andrzej G. oraz trzech innych mężczyzn. Prokuratura oskarża ich o matactwa w sprawie rozboju w Trzciancu pod Lubartowem w kwietniu 1998 roku. Wzięli w nich udział m.in. wspomniany już wcześniej Sokołowski oraz syn wicedyrektora w Urzędzie Miasta Artur G.

Mężczyzna pobity w Trzciancu zawiadomił o wszystkim organy ścigania i sprawą zajęła się lubartowska prokuratura. To wtedy obrońcą Sokołowskiego został mecenas Adam K. Jak twierdzi prokuratura, korzystając z pomocy prokuratora z Lubartowa Macieja S., za łapówkę w kwocie 1000 zł zdobył akta toczącego się śledztwa. Później opracował „instrukcję”, według której miał zeznawać pokrzywdzony z Trzcianca (kiedy sprawa rozboju trafiła już do sądu). Nie okazało się to jednak skuteczne, bo

mężczyzna płatał się w zeznaniach, a co więcej przed sądem wydało się, że w lubartowskiej prokuraturze sprzedawano akta.

Sprawą kupowania akt i dziwnymi zmianami zeznań pokrzywdzonego zainteresowała się prokuratura. Przeprowadziła dochodzenie (na wniosek ministra sprawiedliwości przekazane w międzyczasie do Krakowa), które zakończyło się oskarżeniem mecenasa Adama K., prokuratora Macieja S. (o wzięcie łapówki) i wicedyrektora wydziału w lubelskim magistracie, który - jak twierdzi prokurator - przez pewien czas wspólnie z adwokatem, a później na własną rękę mataczył w sprawie, żeby uwolnić od odpowiedzialności własnego syna. Mecenasowi K. „dorzucono” jeszcze zarzut usiłowania wręczenia łapówki w formie artykułów spożywczych innemu lubartowskiemu prokuratorowi, Ewie M. - To absurd. Chciałem tylko poczęstować herbatą i kawą panią prokurator - mówił wczoraj Adam K.

Pozostali trzej oskarżeni mężczyźni pomagali w przestępczej działalności. Jeden z nich miał zastraszać pokrzywdzonego w rozboju z Trzcianca, inny przekazywać łapówkę prokuratorowi.

Całą trójkę na pewien czas aresztowano. Mecenas i prokurator są zawieszani w pełnieniu swoich funkcji, z pracą pożegnał się także dyrektor urzędu.

...adwokat prokuratorowi

Atmosfera wczorajszego procesu była gorąca. Dochodziło do ostrych dyskusji między przewodniczącym składu sędziowskiego a jednym z adwokatów. Jednego z oskarżonych, Wojciecha K. sąd upomniał dwustuzłotową grzywną za niewłaściwe zachowanie.

Na początku nie wiadomo było, czy proces w ogóle się zacznie. Adwokaci oskarżonych poprosili o odroczenie rozprawy ze względu na to, że nie mieli możliwości zapoznania się z całością akt sprawy. Dostępu do części z nich (stanowiącą tajemnicę państwową) zabronił im prezes Sądu Rejonowego. Przewodniczący składu sędziowskiego Robert Kowalczyk jednak stwierdził, że nie ma powodu, żeby sprawę odraczać.

Po odczytaniu aktu oskarżenia sąd udzielił głosu prokuratorowi **Maciejowi S.** Ten jednak **nie chciał wyjaśnić**, potwierdzał tylko to, co powiedział wcześniej, kiedy był przesłuchiwany w prokuraturze. **Wtedy nie przyznał się do winy i utrzymywał, że padł ofiarą spisku.**

Później sąd odebrał wyjaśnienia od adwokata **Adama K.** - Podjąłem w areszcie trudną decyzję. Uznałem, że **powiem całą prawdę**, że to będzie jedyny sposób na rozliczenie się z tego wszystkiego - mówił przed sądem. Później opowiadał o tym, jak dostał w swoje ręce akta i jak sporządził instrukcję z zeznaniami. Obciążał przy tym pozostałych współoskarżonych, w szczególności prokuratora Macieja S. Mecenas K. sam nie czuje się jednak winny temu, co zarzucił mu prokurator. Następny termin rozprawy odbędzie się dopiero pod koniec listopada. Będą zeznawali inni oskarżeni.

Niewyjaśniony wątek?

Na wczorajszej rozprawie mecenas Adam K. stwierdził, że jego aresztowanie i oskarżenie jest karą za doprowadzenie do złożenia zeznań byłego funkcjonariusza policji Marcina L. (mężczyzna jest aresztowany i oskarżony o udział w gangu złodziei samochodów). Jak ujawniliśmy w „Gazecie” na początku roku, wezwany przez mecenasa K. na świadka w procesie rozboju w Trzciancu Marcin L. opowiedział, że w sprawę mactw przy rozboju w Trzciancu zamieszani są także: inny wysoko postawiony lubelski prokurator, jeden z szefów policji i znany lubelski dziennikarz. - Nie jestem jedyną osobą, która działała w tej sprawie - stwierdził wczoraj mecenas.

Prokuratura zajęła się i tym wątkiem, jednak jak do tej pory nikomu nie postawiono zarzutów. Wymienieni przez Marcina L. prokurator, policjant i dziennikarz będą zeznawać jako świadkowie.

Oskarżonych broni czołówka lubelskiej palestry

2001/11/10-2001/11/11, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 263, s. 4

Pietia w środę. Z sądu

Sąd Apelacyjny w środę wyda prawomocny wyrok w głośnej sprawie rozboju w Trzciancu pod Lubartowem. Rozbój z kwietnia 1998 roku stał się początkiem wielokrotnie opisywanej przez prasę afery korupcyjnej w świecie prawniczym. Przypomnijmy. W kwietniu lubelski Sąd Okręgowy skazał na kary od czterech i pół do sześciu i pół lat więzienia pięciu sprawców. Sprawa stała się głośna po tym, jak okazało się, że znany lubelski adwokat Adam K., prokurator z Lubartowa **Maciej S.** i były

wicedyrektor wydziału w lubelskim Urzędzie Miasta mataczyli w sprawie, próbując uchronić od odpowiedzialności dwu spośród sprawców rozboju.

2001/11/15, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 267, s. 3

„Pietia” jeszcze posiedzi. Z sądu. Wyrok w sprawie Trzcianca

Sprawcy rozboju w Trzciancu: Sławomir Sokołowski ps. „Pietia” i czterech innych mężczyzn spędzą po kilka lat w więzieniu - zdecydował Sąd Apelacyjny

Wczoraj sąd **utrzymał w mocy** wcześniejszy wyrok lubelskiego Sądu Okręgowego, który skazał sprawców rozboju na kary więzienia. Na nic zdały się matactwa wokół sprawy mające nakłonić poszkodowanego w rozboju do fałszywego zeznawania, za którymi stali znany lubelski adwokat Adam K., prokurator z Lubartowa **Maciej S.** i ojciec jednego z oskarżonych, do niedawna wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej w Urzędzie Miasta.

Większość skazanych odwołała się od tego wyroku licząc na uniewinnienie, jednak wczoraj Sąd Apelacyjny rozwiął ich nadzieje. Wczorajszy wyrok jest prawomocny i zamyka pierwszy rozdział w dziejach wielokrotnie opisywanej przez „Gazetę” afery korupcyjnej w świecie prawniczym.

Mężczyźni, którzy mataczyli wokół sprawy, mają teraz własne problemy z temidą. W ubiegłym tygodniu zaczął się ich proces przed lubelskim Sądem Rejonowym.

2001/11/29, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 279, s. 4

Oskarżony wicedyrektor mówi, że jest niewinny. Urzędnik, dziennikarz, policjant.

Nie mataczyłem wokół sprawy Trzcianca - twierdzi Andrzej G., były wicedyrektor w Urzędzie Miejskim.- Korzystając z pomocy dziennikarza „Kurier Lubelski” i wiceszefa CBS próbowałem przekonać syna, żeby opowiedział prawdę

Wczoraj sąd przesłuchiwał wicedyrektora. Prokuratura oskarżyła go o udział w opisywanej przez „Gazetę” aferze korupcyjnej w świecie prawniczym. Andrzej G., były wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej w UM w Lublinie miał namawiać jednego ze świadków do składania fałszywych zeznań, ułatwiać wręczenie łapówki, składać fałszywe zeznania w prokuraturze i sądzie. Wszystko to w sprawie rozboju, za który skazano syna urzędnika.

Wczoraj Andrzej G. - wyraźnie zdenerwowany - nie chciał składać wyjaśnień. Sąd przeczytał więc to, co urzędnik mówił w prokuraturze. Nie przyznał się wtedy do postawionych mu zarzutów, a swoją rolę w całej sprawie przedstawił w pozytywnym świetle. Potwierdził, że prowadził zakulisowe działania w sprawie. - Udałem się do znajomego, dziennikarza „Kurier Lubelski”, który zajmuje się policją i ma w niej dobre kontakty - mówił dyrektor Andrzej G. - Dziennikarz skontaktował mnie z Krzysztofem M., wiceszefem lubelskiego Centralnego Biura Śledczego. Ten umożliwił mi spotkanie z synem (zatrzymanym przez policję - red.). Spotkanie odbyło się w obecności policjanta w gmachu KWP w Lublinie. Mówiłem synowi, żeby opowiedział całą prawdę o tym, co się zdarzyło.

Andrzej G. potwierdził, że miał kontakt z pokrzywdzonym w rozboju. Zaprzeczył, że nakłaniał go do fałszywych zeznań, jednak potwierdził, że dawał mu pieniądze. - Na leczenie dziecka - wyjaśniał.

W tej głośnej sprawie na ławie oskarżonych zasiadają - oprócz Andrzeja G. - także znany lubelski adwokat Adam K., prokurator z Lubartowa **Maciej S.**, były funkcjonariusz UOP Marek B. i kilku innych mężczyzn. Sprawa dotyczy zakulisowych działań, jakie miały miejsce wokół rozboju w podlubartowskim Trzciancu z 1998 roku. Podczas porachunków w grupie przestępczej pobito tam człowieka. Sprawa trafiła do prokuratury. Później - jak czytamy w akcie oskarżenia - adwokat, prokurator z Lubartowa i urzędnik próbowali m.in. poprzez wręczenie łapówki i wymuszenie składania fałszywych zeznań uchronić od odpowiedzialności niektórych sprawców.

Wczoraj przez kilka godzin **adwokaci oskarżonych kilka razy starali się przerwać proces.** Złożyli m.in. wniosek o zmianę składu sędziowskiego. Wniosek oddalono. Oskarżony prokurator **Maciej S.** zapowiedział, że doniesie do prokuratury na sąd, który - jego zdaniem bezprawnie - odczytał na rozprawie dane osobowe prokuratora. Następny termin sprawy w grudniu.

Z wyjaśnień dyrektora Andrzeja G. wynika, że w 1997 roku kupił on - na spółkę z dziennikarzem „Kurier” i ówczesnym prokuratorem Prokuratury Okręgowej w Lublinie Andrzejem M.

(zrezygnował z pracy w prokuraturze w lutym) - działkę budowlaną w centrum Lublina. W późniejszym czasie Andrzej G. darował dziennikarzowi i prokuratorowi swój udział w nieruchomości. W prokuraturze urzędnik tłumaczył, że w rzeczywistości nie zrobił prezentu współnikom, gdyż - jak twierdzi - cała zapłata za działkę w chwili jej kupna w 1997 roku pochodziła z kieszeni dziennikarza i prokuratora. Andrzej G. zaprzeczył w prokuraturze sugestiom, że darowizna mogła być zapłatą za pomoc okazaną w sprawie syna.

2001/12/13, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 291, s. 3

Adwokat chory, sprawa utknęła. Sprawa afery w świecie prawniczym spadła z wokandy

Nieobecność adwokata sprawiła, że lubelski sąd nie mógł prowadzić wczorajszej sprawy oskarżonych prawników

Wczoraj sąd miał przesłuchać ostatnich oskarżonych w sprawie. Jednak okazało się, że jeden z obrońców (mecenas broni oskarżonego prokuratora z Lubartowa Maciej S.) jest chory i nie przyszedł na rozprawę. Oskarżony prokurator ma jeszcze jednego adwokata, jednak i on nie stawił się wczoraj na wezwanie sądu. **Na poprzednich rozprawach mecenasa też nie było.** Sąd po wysłaniu dwóch pism i telefonie do adwokata ustalił wreszcie, że ten zgodził się na zastępowanie go przez innego obrońcę. Ten ostatni był wczoraj na sali. Na jego udział w sprawie **nie zgodził się jednak sam prokurator Maciej S.**, który oznajmił, że chce, żeby bronili go jego adwokaci.

Sąd nie miał więc wyjścia i musiał sprawę odroczyć. Następny termin sprawy wyznaczył na początek stycznia.

W procesie dotyczącym największej ujawnionej do tej pory afery korupcyjnej w świecie prawniczym na ławie oskarżonych zasiadają m.in. znany lubelski adwokat, prokurator z Lubartowa, a także były wicedyrektor wydziału gospodarki komunalnej w Urzędzie Miasta w Lublinie. Oskarżeni są o matactwa wokół jednej ze spraw prowadzonych przez lubartowską prokuraturę. Wszystkim grozi więzienie.

GP

Niestawiennictwo oskarżonych albo ich adwokatów to bardzo częsty powód odraczania rozpraw i tym samym przeciągania się procesów. Rekordowa w Lublinie sprawa musiała być odraczana z tego powodu aż 19 razy.

2002/01/11, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 9, s. 3

Adwokat, prokurator, esbek. Jesteśmy niewinni - twierdzą oskarżeni o matactwa

Ostatni oskarżeni o matactwa w sprawie rozboju w Trzcińcu wyjaśniali w środę przed sądem.

- Wszystkie moje czynności zmierzały do nakłonienia syna do mówienia prawdy o tym, co się zdarzyło w Trzcińcu. Nie miałem świadomości, że naruszam prawo - tłumaczył były wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej w lubelskim Urzędzie Miasta Andrzej G. On, znany lubelski adwokat Adam K. i prokurator z Lubartowa **Maciej S.** oskarżeni są o matactwa wokół sprawy rozboju. Wczoraj oprócz dyrektora wyjaśnienia składali **Wojciech K.** (doskonale znany policji, wcześniej już karany) a także **były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa Marek B.** Wojciech K. oskarżony o to, że groźbami usiłował nakłonić pokrzywdzonego w rozboju do zmiany swoich zeznań, nie przyznał się do winy. Podobnie było z Markiem B. (tuż przed przekształceniem SB w UOP odszedł ze służby na rentę). Mężczyzna oskarżony jest o to, że używając fałszywej legitymacji, próbował nakłonić świadka do zmiany zeznań. - Stawianie zarzutu, że posługiwałem się podrobioną legitymacją jest dla mnie obelgą - stwierdził wczoraj Marek B.

Przez ponad godzinę przed rozpoczęciem rozprawy trwały w środę słowne utarczki między sędzią i adwokatami oskarżonych. Obrońcy domagali się odroczenia sprawy do czasu umożliwienia im zapoznania się z aktami sprawy zaklasyfikowanymi jako „tajne” (sąd twierdzi, że zgodę na to powinna wyrazić prokuratura, prokuratura - że sąd). Ostatecznie proces jednak ruszył.

2002/01/19-2002/01/20, Grzegorz Praczyk, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 16, s. 3

Afery w lubelskim świecie prawniczym ciąg dalszy. Łapówka naczelnika

Podinspektor **Krzysztof M.**, zastępca naczelnika Centralnego Biura Śledczego w Lublinie, został **zatrzymany za przyjęcie łapówki**

Razem z nim do aresztu trafił **Andrzej G.**, były zastępca dyrektora wydziału gospodarki komunalnej lubelskiego magistratu. To on, zdaniem prokuratury, wręczył policjantowi łapówkę w zamian za pomoc w uwolnieniu z aresztu syna.

Poranna wizyta u naczelnika

Policjant z byłym urzędnikiem zostali zatrzymani wczoraj rano o tej samej porze **w swoich mieszkaniach** przez funkcjonariuszy z Katowic. W ich domach przeprowadzono szczegółową rewizję. Krótco po tym policyjny konwój wyruszył na Górny Śląsk (**śledztwo w sprawie korupcji prowadzi katowicka Prokuratura Apelacyjna**).

Krzysztofowi M. przedstawiono cztery zarzuty.

Najpoważniejszy z nich dotyczy przyjęcia korzyści majątkowej, dużej sumy pieniędzy (prokuratura nie ujawniła, o jaką kwotę chodzi) od Andrzeja G. Pozostałe zarzuty dotyczą fałszowania dowodów i matactw w trakcie prokuratorskiego śledztwa oraz nielegalnego posiadania broni. Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, w mieszkaniu Krzysztofa M. znaleziono granaty i trotyl. Według art. 228 kodeksu karnego grozi mu za to nawet do 12 lat więzienia. Z kolei Andrzej G. jest podejrzany o wręczenie łapówki (do ośmiu lat więzienia).

Jak doszło do zatrzymania zastępcy naczelnika lubelskiego Centralnego Biura Śledczego? Wszystko wiąże się z osobą Marcina L., byłego podwładnego Krzysztofa M. z CBS. Półtora roku temu Marcin L. został zatrzymany za współpracę z gangiem samochodowym. W areszcie zaczął sypać: opowiadał o nieformalnych kontaktach swojego przełożonego ze światem przestępczym.

Opisał jak w połowie 1998 r. na terenie wydziału, którego szefem był Krzysztof M., doszło do nieformalnego spotkania urzędnika Andrzeja G. z przebywającym w areszcie synem Arturem (siedział wtedy za skatowanie człowieka). Spotkanie miało na celu uchronienie Artura G. od odpowiedzialności. Skruszony policjant opowiedział też o pieniądzach, które jego przełożony miał otrzymać od urzędnika za pomoc. Artur G. szybko wyszedł z aresztu.

Marcin L. wciąż przebywa w areszcie. W środę został przewieziony do Katowic, gdzie przed tamtejszą prokuraturą złożył obszernie zeznania obciążające naczelnika Krzysztofa M. i Andrzeja G.

Prokurator, dziennikarz i inni

Według prokuratury zatrzymanie naczelnika i byłego urzędnika to nie koniec zarzutów w tej sprawie. **Przewijają się w niej jeszcze m.in. były szef Prokuratury Rejonowej dla miasta Lublina, który - kiedy o sprawie zaczęło być głośno - odszedł z zawodu** (jest dziś radcą prawnym) i znany dziennikarz. Obaj przed czterema laty razem z Andrzejem G. kupili działkę budowlaną przy ul. Dolnej Panny Marii w centrum Lublina. Następnie Andrzej G. podarował swoją część nieruchomości prokuratorowi i dziennikarzowi. Według zeznań skruszonego policjanta to właśnie dziennikarz pośredniczył w kontaktach między zatrzymanymi wczoraj urzędnikiem i policjantem.

Podinspektor Krzysztof M. był zastępcą naczelnika Centralnego Biura Śledczego w Lublinie od chwili powstania specwydziału przed dwoma laty. Tropił najpoważniejsze przestępstwa związane z handlem narkotykami i fałszowaniem pieniędzy. W przeszłości to on miał główny udział w zatrzymaniu wielokrotnego mordercy Roberta K. pseudonim „Ciolo”. - **Dziś komendant główny policji polecił zawiesić w czynnościach podinspektora Krzysztofa M.** - poinformował nas wczoraj komisarz Zbigniew Matwiej, naczelnik wydziału prasowego Komendy Głównej Policji.

Przed Sądem Rejonowym w Lublinie toczy się już inny proces, w którym jednym z oskarżonych jest zatrzymany wczoraj urzędnik Andrzej G. Prokuratura oskarżyła go o namawianie do fałszywych zeznań, ułatwianie wręczenia łapówki i krzywoprzysięstwo. Ten proces, jak i wczorajsze zatrzymanie, związane są ze sprawą rozboju w Trzcińcu pod Lubartowem, w którym syn urzędnika skatował człowieka. Andrzej G. został w tej sprawie aresztowany na początku lutego ub.r. i spędził w areszcie kilka miesięcy. Razem z nim na ławie oskarżonych zasiada znany lubelski adwokat Adam K. i prokurator z Lubartowa **Maciej S.**

2002/01/21, Jacek Brzuszkiewicz, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 17 s. 3

Korupcja w lubelskim Centralnym Biurze Śledczym. Superglina aresztowany

Podinspektor **Krzysztof M.**, zastępca naczelnika lubelskiego Centralnego Biura Śledczego został w sobotę aresztowany na trzy miesiące przez katowicki sąd za korupcję

Razem z nim do aresztu trafił Andrzej G., były zastępca dyrektora wydziału gospodarki komunalnej lubelskiego magistratu, który - zdaniem prokuratury - wręczył łapówkę policjantowi.

Chodzi o słynny już rozbój w Trzcińcu, gdzie syn dyrektora, Artur G., razem ze znanymi dobrze policji czterema kompanami skatował wiosną 1998 r. człowieka. Trafił za to do aresztu. Jego ojciec postanowił go stamtąd wydostać. Według zeznań świadków, dzięki pośrednictwu znanego lubelskiego dziennikarza Mariusza H., skontaktował się z podinspektorem Krzysztofem M., zastępcą szefa lubelskiego CBS (wydział, który podlega bezpośrednio Komendzie Głównej Policji, tropi najpoważniejsze afery). Jak twierdzi prowadząca w tej sprawie śledztwo Prokuratura Apelacyjna w Katowicach, policjant w zamian za łapówkę obiecał urzędnikowi pomoc. Prokuratura twierdzi, że **Krzysztof M.** spreparował dowody w sprawie rozboju w Trzcińcu. Na ich podstawie syn urzędnika mógł uniknąć odpowiedzialności.

Oprócz matactw i przyjęcia łapówki katowicka prokuratura zarzuciła naczelnikowi nielegalne posiadanie broni. Podczas piątkowego przeszukania jego mieszkania znaleziono m.in. granaty i trotyl. Według art. 228 kodeksu karnego grozi mu za to kara więzienia nawet do lat 12. Z kolei urzędnik, za wręczenie korzyści majątkowej, może trafić za kratki na osiem lat.

Ale to nie wszystko. Jak podaje katowicka prasa Andrzej G., w obronie syna posunął się jeszcze dalej. Oprócz policjanta miał on oferować łapówkę Jackowi K. prokuratorowi z Lublina. Jacek K. był wówczas naczelnikiem wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie i w wielu sprawach współpracował z policyjnym wydziałem podinspektora Krzysztofa M.

Katowicka prokuratura twierdzi, że sprawa ma charakter rozwojowy. Nieoficjalnie wiadomo, że przewijają się w niej nazwiska innych znanych osób. Jest wśród nich były szef Prokuratury Rejonowej dla miasta Lublina, który w zeszłym roku zrezygnował z zawodu, zostając radcą prawnym.

Krzysztof M. to jeden z bardziej popularnych lubelskich policjantów. Bardzo wysoki, kryjący twarz za wielkimi ciemnymi okularami. Ścigał najgroźniejszych lubelskich przestępców. Zaczął być znany jeszcze pod koniec lat 80., kiedy pracował w wydziale kryminalnym komendy milicji. Na początku lat 90. wszedł w skład policyjno-prokuratorskiej grupy WOLF, która poszukiwała Roberta K. („Ciolo”), wielokrotnego mordercy. Poszukiwania zakończyły się sukcesem: „Ciolo” wpadł w sierpniu 1994 r. w Dniepropietrowsku na Ukrainie. Później Krzysztof M., już w wydziale przestępczości zorganizowanej Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie, rozbijał w Warszawie słynną fabrykę amfetaminy (pierwszą w kraju), tropił gang radomskich karateków i interesy Andrzeja K., pseudonim „Pershing”, domniemanego szefa gangu pruszkowskiego. Po raz ostatni pojawił się w mediach we wrześniu 2000 r. przy okazji porwania młodego mężczyzny z mieszkania na lubelskim Czechowie. Porywaczy ścigał razem z detektywem Krzysztofem Rutkowskim. Krzysztof M. przed kamerami telewizji obiecał, że ich ujęcie to kwestia dni. Mimo to porywacze są do dziś na wolności. Od stycznia 2001 r., kiedy wybuchła opisywana przez nas afera w lubelskim świecie prawniczym, usunął się w cień.

2002/02/07, Jacek Brzuszkiewicz, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 32, s. 3

Za tydzień decyzja w sprawie aresztu Krzysztofa M. Ręczą za glinę

Senator Teresa Liszcz, poseł i detektyw Krzysztof Rutkowski, wiceprezydent Przemyśla oraz ponad 120 mieszkańców Lubelszczyzny poręczyło za policjanta aresztowanego pod zarzutem korupcji

W najbliższą środę katowicki Sąd Okręgowy zdecyduje, czy **Krzysztof M.** w dalszym ciągu będzie przebywał w areszcie. Zastępca naczelnika policyjnego Centralnego Biura Śledczego w Lublinie został aresztowany w połowie stycznia pod zarzutem przyjęcia korzyści majątkowej od byłego zastępcy dyrektora wydziału gospodarki komunalnej lubelskiego Urzędu Miasta, utrudnianie postępowania i nielegalne posiadanie broni. Chodziło o słynną już aferę korupcyjną w lubelskim świecie prawniczym,

w którą zamieszani są prokuratorzy, znany adwokat i zawieszony ostatnio dziennikarz „Kurier Lubelskiego”.

Jako pierwszy poręczenie osobiste za Krzysztofa M. złożył znany detektyw Krzysztof Rutkowski. - W przeszłości współpracowałem z Krzysztofem M. To świetny glina. Nie powinien znaleźć się po drugiej stronie więziennego muru, gdzie przebywają ci, których dotąd ścigał - powiedział nam w ostatni wtorek przebywający w Lublinie detektyw.

„Pan **Krzysztof M.**, w razie uchylenia wobec niego tymczasowego aresztowania, stawi się na każde wezwanie prokuratury lub sądu i nie będzie w sposób bezprawny utrudniał postępowania karnego” - jest pewna senator z Lublina Teresa Liszcz, przewodnicząca Senackiej Komisji Ustawodawstwa i Praworządności. Ona także w ostatnich dniach złożyła poręczenie za Krzysztofa M.

Swojego policjanta jak lew broni także naczelnik lubelskiego CBS Michał Wartacz i komendant wojewódzki policji w Lublinie Zbigniew Głowacki. - Jego tymczasowe aresztowanie było ogromnym zaskoczeniem, gdyż uważamy, że zawsze przestrzegał obowiązujących norm prawnych. **Krzysztof M.**, pełniąc przez ponad 24 lata służbę w policji, nadwyrężył swoje zdrowie fizyczne i psychiczne. Dla pracy poświęcił dom i rodzinę - napisali przełożeni Krzysztofa M.

W sumie za Krzysztofem M. poręczyło już ponad 120 osób (sąsiedzi, nauczyciele, urzędnicy, biznesmeni, a także wiceprezydent Przemysła). Były wśród nich organizacje i związki, np. Uczelniany Klub Turystyczny „Mimochodek”, który działa przy lubelskim PTTK (**Krzysztof M.** jest jego wieloletnim działaczem), oraz Lubelskie Centrum Edukacji Zawodowej.

2002/02/14, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 38, s. 4

Postanowią za dwa tygodnie. Superglina poczeka. Dopiero za dwa tygodnie sąd ogłosi decyzję w sprawie aresztowania Krzysztofa M., zatrzymanego w połowie stycznia wiceszefa lubelskiego CBS

Krzysztof M. został aresztowany przez katowicki Sąd Rejonowy pod zarzutem łapownictwa i matactw. Odwołał się od tej decyzji do katowickiego Sądu Okręgowego. Sąd zebrał się w tej sprawie wczoraj. - Posiedzenie się odbyło, jednak decyzja nie zapadła - informuje sędzia **Teresa Truchlińska-Binasik**, rzecznik prasowy sądu w Katowicach.

Posiedzenia sądu odbywają się za zamkniętymi drzwiami, więc nie wiadomo co zadecydowało o tym, że sąd postanowił poczekać z decyzją. Z reguły dzieje się tak, kiedy w sprawie potrzebne są dodatkowe dokumenty, np. opinia biegłych lekarzy.

Krzysztofowi M. prokuratura zarzuca przestępstwa związane z aferą korupcyjną w lubelskim świecie prawniczym. Poręczenia osobiste w jego sprawie złożyło ponad 120 osób, w tym lubelska senator Teresa Liszcz, detektyw i poseł Krzysztof Rutkowski, a także komendant wojewódzki policji w Lublinie Zbigniew Głowacki.

Katowicki sąd ogłosi decyzję w sprawie Krzysztofa M. 27 lutego. gp

2002/02/21, Jacek Brzuszkiewicz, Gazeta w Lublinie nr 44, s. 3

Kolejny akt oskarżenia przeciwko policjantom. Jeden spowodował, dwaj tuszowali

Policjant z białskiej komendy spowodował po pijanemu wypadek, a jego dwaj koledzy z drogówki próbowali sprawę zatuszować

27 września 2001 r. wieczorem w miejscowości Zalesie Dariusz D., funkcjonariusz wydziału ruchu drogowego Komendy Miejskiej Policji w Białej Podlaskiej, pędząc ponad 100 km/h nissanem primerą staranował osobowe BMW. Uderzenie było tak silne, że BMW wyjechało na przeciwny pas ruchu i uderzyło w jadącego z przeciwka opla kadetta. Dodatkowo na nissana wpadł volkswagen golf. W wypadku cztery osoby zostały ciężko ranne, a karambol na wiele godzin zablokował międzynarodową trasę Warszawa - Terespol.

Z zeznań świadków wynikało, że sprawca wypadku był pod wpływem alkoholu (bełkotał, zataczał się na nogach). Po wyjściu z rozbitego auta próbował uciec, ale świadkowie wezwali policję.

- Na miejsce wypadku przyjechał radiowóz. Funkcjonariusze zatrzymali Dariusza D. Kiedy zorientowali się, że wypadek spowodował ich kolega, postanowili puścić go wolno. Chwilę później na miejscu wypadku zjawiała się żona Dariusza D., która zeznała, że to ona spowodowała karambol - tłumaczy Andrzej Wasiak, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Lublinie.

Sprawa wyszła na jaw dzięki zeznaniom kilkunastu świadków, którzy widzieli, że kraksę spowodował mężczyzna, a nie kobieta. Wtedy podejrzenie padło na Dariusza D. Zgłosił się on na policję dopiero tydzień po wypadku. Podczas przesłuchań utrzymywał, że spowodował wypadek, ale był wtedy trzeźwy. Z miejsca karambolu uciekł pod wpływem doznanego szoku.

Na ławie oskarżonych zasiądzie w tej sprawie w sumie pięć osób. Dariusz D. odpowie za spowodowanie wypadku i ucieczkę z miejsca kraksy, za co grozi mu do 12 lat więzienia. Dwóm funkcjonariuszom z białskiej drogówki oraz byłemu policjantowi z Białej Podlaskiej, którzy umożliwili koledze ucieczkę, zarzucono mactwo. Za to samo przestępstwo odpowie przed sądem żona Dariusza D. Za mactwo grozi do pięciu lat pozbawienia wolności.

W lubelskim garnizonie policji trwa czarna seria.

W grudniu 2001 r. za przyjęcie łapówki aresztowano komendanta policji z Białej Podlaskiej. Władysław S., szykowany na komendanta wojewódzkiego policji miał otrzymywać korzyści majątkowe od przestępców, przeciwko którym prowadził dochodzenia.

Miesiąc później do aresztu trafił zastępca szefa lubelskiego Centralnego Biura Śledczego. Krzysztof M. też miał brać łapówki, dodatkowo posiadał nielegalną broń i mactwo podczas śledztwa.

W styczniu z sejfu wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie zniknęło 8 tysięcy dolarów i 7 tysięcy złotych, dowodów w sprawie przemytników złota z Włoch. Kilka dni później z tego samego sejfu wyciekły tajne akta, kompromitujące krańskich samorządowców.

Przed tygodniem prokurator oskarżył policjanta z radzyńskiej drogówki za pobicie rowerzysty.

2002/02/28, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 50, s. 1

Poręczenia nie pomogły

Wiceszef lubelskiego Centralnego Biura Śledczego **Krzysztof M.** pozostanie w areszcie - zdecydował wczoraj katowicki sąd.

Krzysztofowi M. nie pomogły poręczenia osobiste złożone przez znanego detektywa Krzysztofa Rutkowskiego i senator Teresę Liszcz. Katowicki sąd, który wczoraj rozpatrywał zażalenie na tymczasowe aresztowanie funkcjonariusza (miało miejsce w połowie stycznia), postanowił nie uchylać aresztu. Decyzję o tym, że policjant zostanie za kratkami, sąd uzasadnił dużym prawdopodobieństwem popełnienia przestępstw, które zarzuca mu prokuratura.

Krzysztof M. jest aresztowany pod zarzutem łapownictwa i mactw. Wraz z nim aresztowano lubelskiego urzędnika Andrzeja G., od którego policjant miał przyjąć łapówkę. Wczoraj sąd zastanawiał się, czy nie wypuścić z aresztu także Andrzeja G. Uznał, że urzędnik także powinien pozostać za kratkami.

2002/04/16, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 89, s. 3

Utrzymany areszt na policjanta. Superglina zostanie za kratkami

Nie pomogły poręczenia i wstawiennictwo szefów. Sąd zdecydował, że podinspektor **Krzysztof M.**, wiceszef lubelskiego Centralnego Biura Śledczego zostanie w areszcie co najmniej do czerwca

Na decyzję sądu czekała w napięciu rodzina policjanta i jego koledzy z pracy. Posiedzenie odbywało się za zamkniętymi drzwiami. Zanim sąd ogłosił postanowienie, minęło kilka godzin.

Lubelski Sąd Rejonowy zdecydował, że policjant pozostanie w areszcie do 24 czerwca. Dokładnie tyle, ile chciał prokurator. Obróńca chciał zamiany aresztu na łagodniejszy środek zapobiegawczy. - Nie ustały powody, dla których areszt tymczasowy jest konieczny - powiedział jednak krótko sędzia Paweł Pieczonka.

Nie zgodził się z tym adwokat aresztowanego policjanta Marek Przeciechowski. - Będziemy się odwoływać.

Według katowickiej prokuratury **Krzysztof M.** współdziałał z osobami oskarżonymi o udział w głośnej aferze korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym. W zamian za matactwa w śledztwie dotyczącym rozboju miał przyjąć dużą łapówkę.

Krzysztofa M. zatrzymano i aresztowano w styczniu. Kiedy trafił za kratki, w jego obronie wystąpili m.in. znany detektyw Krzysztof Rutkowski, senator Teresa Liszcz a także ponad sto innych osób. Krzysztofa M. zdecydowani są również bronić jego koledzy z pracy. Osobiste poręczenie złożył komendant wojewódzkiej policji Zbigniew Głowacki. Bronią go także policjanci w Warszawie. - Osobę, która go pomawia, wyrzucono z policji za branie narkotyków - mówi rzecznik Komendy Głównej Policji Paweł Biedziak.

Na razie **Krzysztof M.** nie stracił pracy w lubelskim CBS. Jest zawieszony w wykonywaniu obowiązków.

Wczoraj sąd zdecydował, że za kratkami pozostanie też Andrzej G., były wiceszef Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego Urzędu Miejskiego, który zdaniem prokuratury wręczał łapówkę policjantowi. Urzędnik posiedzi także co najmniej do 24 czerwca.

Oba postanowienia są nieprawomocne. Można się od nich odwołać do Sądu Okręgowego.

2002/05/16, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 113, s. 4

Prokurator z Lubartowa obciąża adwokata. Mecenas nalegał

Prokurator Ewa M., pierwszy świadek w procesie prawników oskarżonych o korupcję, potwierdziła, że mecenas Adam K. próbował wręczyć jej łapówkę

- Mecenas nalegał, żebym się z nim spotkała. Co było w siatce, nie wiem. To była nieprzezroczyta reklamówka. Postawił ją przy biurku. Od razu kazałam mu ją zabrać. Śmiał się i żartował, żebym tego tak poważnie nie traktowała - mówiła wczoraj w sądzie prokurator Ewa M.

W siatce - zdaniem prokuratury - były produkty spożywcze, a mecenas Adam K. miał je wręczać pani prokurator w zamian za łagodniejsze potraktowanie przez nią jego klienta - Sławomira Sokołowskiego, oskarżonego w słynnej sprawie rozboju w Trzcińcu (Sokołowskiego skazano prawomocnym wyrokiem na więzienie).

Wczorajsza rozprawa obfitowała w niecodzienne wydarzenia. Tuż po jej rozpoczęciu oskarżony adwokat Adam K. stwierdził, że ma wyznaczone badania i z tego względu rozprawa powinna być skończona wcześniej. Sąd się jednak na to nie zgodził i ostatecznie mecenas K. musiał przełożyć badania.

Rozprawa momentami przypominała bardziej awanturę niż posiedzenie sądu. Sędzia Robert Kowalczyk wielokrotnie upominał obrońców oskarżonych, którzy przekrzykiwali się, zadając pytania świadkowi. - Proszę zaprotokołować, że sąd na mnie krzyczy! - oburzał się jeden z obrońców. - Proszę usiąść i nie przeszkadzać! - grzmiał sędzia.

Część zeznań prokurator Ewy M. sąd utajnił ze względu na to, że zawierają materiały stanowiące tajemnicę państwową.

W procesie dotyczącym matactw wokół rozboju w Trzcińcu wiosną 1998 roku na ławie oskarżonych zasiadają m.in. znany lubelski adwokat Adam K., prokurator z Lubartowa **Maciej S.** i były wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego Urzędu Miejskiego Andrzej G.

2002/06/27, s Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 148, s. 3

Sprawa prawników nie rusza do przodu. Spadająca afera

Wczoraj znowu nie odbyła się rozprawa w sprawie afery korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym

Prokuratura w Katowicach nie zgodziła się na dowieszenie do lubelskiego sądu jednego z oskarżonych, byłego wicedyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej Andrzeja G. Wczorajszy spadek sprawy z wokandy oznacza, że prawdopodobnie po raz kolejny zacznie się ona od początku.

Sprawa, nazwana przez media najważniejszym procesem Lubelszczyzny ostatnich lat, nie może się zacząć od ponad pół roku. Główną tego przyczyną są powtarzające się nieobecności oskarżonych i ich adwokatów, a także aresztowanie do innej sprawy Andrzeja G.

2002/08/29, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 201, s. 1

Superglina oskarżony

Wiceszef lubelskiego Centralnego Biura Śledczego podinspektor **Krzysztof M.** stanie przed sądem oskarżony o łapownictwo i matactwa w głośnej sprawie rozboju w Trzcińcu. Akt oskarżenia w tej sprawie dziś trafi do lubelskiego sądu

Cały akt oskarżenia zawiera zarzuty przeciwko czterem osobom - mówi prokurator Leszek Goławski, rzecznik prasowy Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach. Wśród oskarżonych są: wiceszef lubelskiego CBS **Krzysztof M.**, były wicedyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego ratusza Andrzej G. i dwóch byłych policjantów CBS z Lublina, którzy pomagali im w matactwach: Marcin L. i Witold K.

Syn pobił, tatuś ratował

W kwietniu 1998 roku w Trzcińcu pod Lubartowem kilku bandytów skatowało i obrabowało Krzysztofa A., z którym mieli porachunki. Wśród oprawców znajdowali się m.in. syn ówczesnego wicedyrektora wydziału w Urzędzie Miejskim a także jeden z liderów lubelskiego gangsterskiego półświatka o pseudonimie „Piecia”. Kiedy Krzysztof A. poszedł na policję i sprawą rozboju zajęła się prokuratura, przestępcy, obrońca „Pieci” mecenas Adam K. a także dyrektor z ratusza - ojciec bandyty - w różny sposób próbowali wywrzeć nacisk na pobitego. Częściowo im się to udało i Krzysztof A. w sądzie płatał się w zeznaniach, próbując uwalniać od odpowiedzialności bandytów. Nie na wiele się to zdało, bo sąd skazał ich na długoletnie więzienie.

Prokuratura w tym czasie prowadziła już śledztwo w sprawie matactw. Wkrótce oskarżyła o łapówki i utrudnianie śledztwa m.in. adwokata Adama K. (obrońca „Pieci”), prokuratora z Lubartowa Macieja S. (handlował aktami sprawy) i urzędnika z ratusza Andrzeja G., ojca bandyty. Ich sprawa właśnie toczy się przed sądem. Podinspektor **Krzysztof M.** występuje w niej tylko jako świadek.

To jednak nie był koniec całej sprawy. W styczniu śląska prokuratura (sprawę Trzcińca przekazano z Lublina do Katowic) uznała, że dowody przeciwko wiceszefowi CBS Krzysztofowi M. są wystarczające i postanowiła go aresztować. Przez kolejne pół roku trwało przygotowanie oskarżenia. Co dokładnie prokurator zarzuca podinspektorowi Krzysztofowi M.? Z aktu oskarżenia wynika, że za łapówkę policjant obiecał pomoc urzędnikowi ratusza w ratowaniu jego syna przed więzieniem. Spreparował część dowodów, żeby umniejszyć rolę syna urzędnika w rozboju. Podczas rewizji w domu podinspektora policjanci znaleźli nielegalnie posiadaną przez niego broń i tego dotyczy jeden z zarzutów.

Urzędnikowi Andrzejowi G., ojcu bandyty, (ma już jedną sprawę o matactwa w sprawie trzcinieckiej) prokurator zarzuca danie łapówki policjantowi, a także utrudnianie śledztwa. Dwaj pozostali policjanci z CBS odpowiadzą przed sądem za pomaganie w przestępstwach.

Pan inspektor przekonywał

Wczoraj, kiedy katowicka prokuratura kończyła akt oskarżenia, w sądzie na pierwszej sprawie dotyczącej Trzcińca pobity Krzysztof A. potwierdził, że wywierano na niego naciski z różnych stron: - Byłem i jestem nakłaniany do fałszywych zeznań - mówił. - Zmieniałem zeznania, bo grożono mi śmiercią. Boję się o życie swoje i rodziny.

Krzysztof A. przez kilka godzin opowiadał, jak urzędnik ratusza i adwokat preparowali dla niego „właściwą” wersję zeznań: - Mecenas K. obiecał mi ochronę w zamian za fałszywe zeznania. Mówił, że wszystko jest „nagrane” i żebym zaufał jego fachowości - zeznawał wczoraj Krzysztof A. Mężczyzna opowiedział też, że został zatrzymany przez policjantów z CBS i był przez nich zastraszany. Udział w tych działaniach brał, zdaniem pobitego, także wiceszef CBS podinspektor Krzysztof M.

Zarówno wiceszef CBS jak i dyrektor z ratusza w oczekiwaniu na proces przebywają w areszcie. Podinspektorowi Krzysztofowi M. nie pomogły nawet poręczenia znanych osobistości, m.in. detektywa Krzysztofa Rutkowskiego i senator Teresy Liszcz. Nawet policjanci z Komendy Głównej wierzą, że

podinspektor jest niewinny i na razie wstrzymali się od dyscyplinarki w jego sprawie. Sąd jednak był nieugięty i wielokrotnie nie zgadzał się na zwolnienie policjanta z aresztu.

To jeszcze nie koniec

Śledztwo wokół wydarzeń mających związek z rozbojem w Trzcińcu nie jest jednak jeszcze zakończone. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że katowicka prokuratura wyłączyła z zakończonej sprawy kilka wątków, którymi zajmie się w oddzielnym śledztwie.

Podinspektor **Krzysztof M.** zaczął swoją karierę w latach 80. w wydziale kryminalnym milicji. Później wszedł w skład elitarniej policyjnej grupy WOLF, która ścigała znanego zabójcę Roberta Kwieka ps. Ciolo. W wydziale przestępczości zorganizowanej KWP zajmował się najważniejszymi sprawami: narkotykami, gangiem karateków, Pruszkowem.

2002/08/31-2002/09/01, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 203, s. 3

Prokuratorzy pomagali mataczyć. Kolejni zamieszani w aferę łapówkarską

Czy lubelscy prokuratorzy Jacek K. i Andrzej M. pomagali w matactwach wokół sprawy rozboju w Trzcińcu? Wyjaśnia to w tej chwili katowicka prokuratura

Prokuratura Okręgowa w Katowicach przesłała właśnie do lubelskiego sądu **akt oskarżenia** dotyczący części matactw wokół rozboju w Trzcińcu. - Z jego uzasadnienia wynika, że w sprawę zamieszani są kolejni prokuratorzy - mówi rzecznik prasowy lubelskiego Sądu Okręgowego Jarosław Matras, nie chcąc jednak podawać nazwisk.

„Gazeta” ustaliła, że chodzi o prokuratorów Jacka K. i Andrzeja M. Według katowickiej prokuratury, pomagali oni w preparowaniu dowodów mających na celu uwolnienie od odpowiedzialności sprawcy rozboju w Trzcińcu.

Prokurator Andrzej M. już nie pracuje w organach ścigania. Złożył rezygnację, kiedy o sprawie matactw rozboju w Trzcińcu zrobiło się głośno. Jacek K. nadal jest prokuratorem, ale pożegnał się ze stanowiskiem szefa wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej.

Lubelska „ośmiornica”

Sprawa matactw wokół rozboju w Trzcińcu z 1998 roku to najpoważniejsza afery korupcyjna ujawniona na Lubelszczyźnie. Dotyczy działań jakie podejmowali m.in. znany lubelski adwokat Adam K., wiceszef lubelskiego Centralnego Biura Śledczego podinspektor Krzysztof M. i prokurator Prokuratury Rejonowej w Lubartowie **Maciej S.** Chodziło o uwolnienie od odpowiedzialności syna byłego wiceszefa Wydziału Gospodarki Komunalnej lubelskiego Urzędu Miasta Andrzeja G. Syn urzędnika był jednym z bandytów, którzy brali udział w rozboju.

Ze śledztwa prokuratury w Lubartowie wynika, że w zamian za łapówki od urzędnika policjant, prokurator i adwokat tworzyli fałszywe dowody i nakłaniali świadków do składania fałszywych zeznań. Jaka była łapówka? Prokuratura oficjalnie podaje, że chodziło o minimum 100 dolarów i 12 butelek whisky. W zeznaniach świadków pojawia się jednak stwierdzenie, że starczyłoby na „dobrą bryczkę”.

Adwokat, lubartowski prokurator, wiceszef CBS i urzędnik zostali już oskarżeni. Ich sprawy albo się zaczęły, albo zaczną się wkrótce przed lubelskim Sądem Rejonowym. Śledztwo Prokuratury Okręgowej w Katowicach (żeby zapewnić bezstronność przeniesiono je tam z Lublina) dalej jednak trwa i dotyczy tym razem działań, jakie podejmowali w sprawie trzcinieckiej inni lubelscy prokuratorzy.

Prokuratorzy dzwonili, chodzili

Prokurator Andrzej M. w czasie, kiedy doszło do rozboju w Trzcińcu (kwiecień 1998 roku) był szefem Wydziału Nadzoru nad Postępowaniem Przygotowawczym w lubelskiej Prokuraturze Okręgowej. Z materiałów zgromadzonych przez katowicką prokuraturę wynika, że wykazywał niebywałą aktywność w „nadzorowaniu” sprawy rozboju w Trzcińcu. Wiele razy dzwonił i chodził do prowadzącej śledztwo lubartowskiej prokuratorce w sprawie uchylenia aresztu jednemu ze sprawców rozboju. Jak twierdzi prokuratura bandyta ten w zamian za wyjście z aresztu miał złożyć wyjaśnienia „wybielające” syna urzędnika. Namawiali go do tego policjanci nasłani przez podinspektora Krzysztofa M.

Z kolei **prokurator Jacek K.** pełnił wysoką funkcję szefa wydziału ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej Prokuratury Okręgowej. I jego rola, według prokuratury katowickiej, była w sprawie poważniejsza. Prokurator miał brać udział w nieformalnym spotkaniu pomiędzy urzędnikiem i jego synem (który był wtedy aresztowany). Wspólnie uzgadniano tam „odpowiednią” wersję wyjaśnień, jaką syn urzędnika miał złożyć w prokuraturze.

Czy prokuratorzy w zamian za pomoc w sprawie wzięli pieniądze od urzędnika? Tego katowicka prokuratura na razie nie rozstrzygnęła. Jeden z policjantów oskarżonych w sprawie afery stwierdził jednak, że słyszał jak jego przełożony - podinspektor Krzysztof M. - trzymając w ręku zwitek studolarowych banknotów, powiedział, że musi „podzielić się tym z prokuratorami”.

Co łączyło prokuratorów i ojca bandyty biorącego udział w rozboju? Okazuje się, że nie tylko więzy koleżeńskie. Prokurator Andrzej M., lubelski dziennikarz Mariusz H. (z prokuratorskiego śledztwa wynika, że był „łącznikiem” między przestępcami) i urzędnik ratusza - ojciec skazanego za rozbój - wspólnie handlowali działkami budowlanymi w centrum Lublina. Z ustaleń prokuratury w Katowicach wynika też, że po zakończeniu działań w sprawie trzcinieckiej prokuratorzy spotkali się z wiceszefem CBŚ i wspólnie pili wódkę.

Są niewinni?

W ubiegłym roku w rozmowie z „Gazetą” prokurator Andrzej M. twierdził, że jego odejście z prokuratury nie wiąże się ze sprawą afery korupcyjnej. Także prokurator Jacek K. zaprzeczał, żeby brał udział w matactwach.

Kiedy śledztwo katowickiej prokuratury dotyczące lubelskich prokuratorów zakończy się aktem oskarżenia, na razie nie wiadomo. Katowiccy prokuratorzy oficjalnie nie chcą się wypowiadać w tej sprawie.

2002/09/05, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 207, s. 1 Superglina posiedzi. Przedłużenie aresztu dla wiceszefa CBŚ

Wiceszef lubelskiego Centralnego Biura Śledczego podinspektor **Krzysztof M.** pozostanie w areszcie przynajmniej do grudnia. Policjant jest oskarżony o łapownictwo i matactwa. Wczoraj lubelski Sąd Rejonowy postanowił o przedłużeniu aresztu policjantowi. Uzasadnił to zagrożeniem wysoką karą i obawami matactwa.

Podinspektor **Krzysztof M.** - jak twierdzi katowicka prokuratura - pomagał w matactwach wokół głośnej sprawy rozboju w Trzcińcu. Za łapówkę w postaci co najmniej 100 dolarów i 12 butelek wódki miał tworzyć fałszywe dowody zmierzające do uchronienia od odpowiedzialności karnej jednego ze sprawców rozboju.

Wczoraj sąd uznał, że w areszcie powinien pozostać także inny oskarżony w tej sprawie, były wiceszef Wydziału Gospodarki Komunalnej Urzędu Miejskiego w Lublinie Andrzej G., ojciec bandyty, którego próbowano uchronić od odpowiedzialności.

2002/10/17, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 243, s. 3 Uchylony areszt Krzysztofa M. Superglina wychodzi

Podinspektor **Krzysztof M.**, oskarżony o łapownictwo i matactwa, wyjdzie z aresztu. Tak wczoraj zdecydował Sąd Rejonowy w Lublinie

Sędzia III Wydziału Karnego, do którego trafiła sprawa Krzysztofa M., zdecydował, że na obecnym etapie postępowania policjant nie musi przebywać za kratami. - Zamiast tymczasowego aresztowania sąd zastosował poręczenie majątkowe w kwocie 25 tysięcy złotych i zakaz opuszczania kraju - mówi rzecznik prasowy lubelskiego Sądu Okręgowego Jarosław Matras.

Oficer opuści areszt, kiedy na sądowe konto wpłynie cała kwota poręczenia.

Wczorajsze uchylenie aresztu jest niespodzianką. Zgodnie z postanowieniem Sądu Rejonowego **Krzysztof M.** miał przebywać w areszcie do grudnia. Taką decyzję dwa tygodnie temu utrzymał w mocy Sąd Okręgowy. Tymczasem 10 października adwokat policjanta zwrócił się do sądu o uchylenie aresztu. Uzasadnił to głównie problemami ze zdrowiem, jakie w ostatnim czasie miał **Krzysztof M.** Jednak sędzia we wczorajszej decyzji zgodnej z tym, co chciał adwokat, na temat zdrowia się nie wypowiedział.

Ten sam wydział, który wczoraj wypuścił na wolność podinspektora **Krzysztofa M.**, kilka dni temu poprosił Sąd Najwyższy o to, żeby jego sprawę przekazać innemu sądowi. W uzasadnieniu czytamy, że sędziowie z nie chcą sędzić sprawy, bo są kolegami prokuratorów - świadków w niej występujących.

Przypomnijmy, że podinspektor **Krzysztof M.**, były wiceszef lubelskiego Centralnego Biura Śledczego, zamieszany jest w sprawę głośnej afery korupcyjnej w lubelskim świecie prawniczym. Prokuratura oskarża go o to, że w zamian za łapówkę obiecał pomoc w uchronieniu od odpowiedzialności karnej sprawcy rozboju. Zdaniem prokuratora policjant sfabrykował część dowodów w sprawie. Podczas rewizji w jego mieszkaniu znaleziono nielegalną broń.

Wczoraj do sądu wpłynął wniosek o uchylenie aresztu **Andrzejowi G.**, byłemu wiceszefowi Wydziału Gospodarki Komunalnej w lubelskim ratuszu. Jest on także oskarżony w tej sprawie i do tej pory siedzi w areszcie.

2002/12/30, dział Jacek Brzuszkiewicz Gazeta w Lublinie nr 302, s. 4

Policyjno-prokuratorские skandale. Afery, kompromitacje i wielki pościg...

Z prędkością 150 km/h przemknęli przez Lubelszczyznę bandyci, którzy obrabowali niemiecki bank. Ale to nie wszystko. Z policyjnej kasy zginęły pieniądze, za kraty trafił lubelski superglina, a prokurator, zatrzymując znanego adwokata, przedstawił mu przedawniony zarzut

Trudno się dziwić, że policja i prokuratura nie mogą zapisać mijającego roku do udanych. Gmachem Komendy Wojewódzkiej i Prokuratury Okręgowej wstrząsały afery, rzucając cień na dobrym imieniu lubelskich organów ścigania.

Skandale policyjne...

Lubelscy policjanci długo zapamiętają drugą dekadę stycznia 2002.

To był szok. Z kasy wydziału dochodzeniowo-śledczego zginęły pieniądze, 8 tys. dolarów i 7 tys. złotych. Gotówkę zabezpieczono członkom gangu jubilerów, którzy przemycali złoto z Turcji do Polski. Kradzież pieniędzy pociągnęła za sobą szereg niekontrolowanych zdarzeń. Samobójstwo popełnił jeden z podejrzewanych funkcjonariuszy, potem Rzecznik Praw Obywatelskich poddał komendę druzgocącej krytyce, w efekcie posady straciło trzech komendantów, na czele ze Zbigniewem Głowackim. Swoją udział w skandalu miał też prokurator. Okazało się, że zwlekał z ulokowaniem skradzionej gotówki w banku, czekając na zmianę komorniczych przepisów.

Cztery dni po ujawnieniu kradzieży garnizonem wstrząsnął drugi zawał. Do aresztu trafił podinspektor **Krzysztof M.**, zastępca naczelnika lubelskiego Centralnego Biura Śledczego. To właśnie on tropił „Ciola” i rozbijał międzynarodowe narkogangi. W styczniu prokurator zarzucił mu korupcję - superglina miał przyjąć łapówkę od urzędnika z lubelskiego magistratu za pomoc w uwolnieniu syna z aresztu. W efekcie M. przesiedział za kratkami ponad dziesięć miesięcy.

...afery prokuratorские

W lutym dostało się lubelskiej prokuraturze. Prokurator z elitarnego Wydziału Zwalczenia Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Lublinie wydał nakaz aresztowania znanego lubelskiego adwokata. Zarzucił mu wyłudzenie 5 tys. dolarów. Mecenasa miał przyjąć pieniądze od matki bandyty (w zamian przestępca miał odzyskać wolność). Zdaniem prokuratora przestępca wolności nie odzyskał, a adwokat pieniędzy nie oddał. Następnego dnia okazało się, że prokurator zatrzymywał mecenasa na podstawie przedawnionego zarzutu. Następnie pospiesznie zmieniał jego treść. W efekcie adwokat odzyskał wolność, a cała sprawa zakończyła się skandalem.

Dobrze poinformowani twierdzą, że prokuratorski blamaż miał wpływ na grudniowe dymisje w lubelskiej prokuraturze. Tuż przed świętami pracę stracił lubelski prokurator apelacyjny Ireneusz Łyszcz i okręgowy **Andrzej Sidor**. Szefem prokuratury apelacyjnym został Grzegorz Janicki, doradca i dobry znajomy ministra sprawiedliwości Grzegorza Kurczuka.

A propos dymisji: w maju pracę stracił poprzednik Sidora, Leopold Pietal. Instytut Pamięci Narodowej zarzucił mu nadużycie uprawnień: w grudniu 1981 r. aresztował działaczy podziemnej „Solidarności” na podstawie dekretu, który jeszcze nie obowiązywał.

3. BYŁY PROKURATOR APELACYJNY W ARESZCIE

18.11. 2002, Rzepa Nr 268

Były prokurator apelacyjny w areszcie. - Żeby nie mataczył

Krakowski sąd aresztował na trzy miesiące b. prokuratora apelacyjnego w Katowicach Jerzego Hopa, podejrzanego o przekroczenie uprawnień i wyłudzenie ponad 135 tys. złotych.

Decyzja zapadła około godziny pierwszej w nocy w sobotę. Wcześniej prokuratura kilkanaście godzin przesłuchiwała Hopa. Po zakończeniu przesłuchania, ok. godz. 21 do sądu trafił wniosek o aresztowanie.

Rzeczniczka prokuratury Mirosława Kalinowska-Zajdak poinformowała, że o złożeniu wniosku zdecydował fakt, iż podejrzany nie przyznał się do winy i złożył "dość pokrętne" wyjaśnienia. Mając na uwadze obawę matactwa i grożącą karę do 10 lat pozbawienia wolności, prokuratura zdecydowała się wystąpić z wnioskiem o areszt.

Prokuratura przedstawiła Jerzemu Hopowi zarzuty przekroczenia uprawnień funkcjonariusza publicznego na służbie i wyłudzenia ponad 135 tys. zł, które miały trafić do prokuratury na zakup materiałów biurowych. Jednak pieniądze przekazywane przez firmy nie trafiały na konta prokuratury.

Hop stracił stanowisko w kwietniu, po tym jak w mediach ukazały się informacje o jego majątku, nieadekwatnym do dochodów jego i jego żony. **SOL, PAP**

04.12.02 Tomasz Szymborski, Rzepa, Nr 281

Święta w areszcie. Prokuratorowi Hopowi nie pomogło poręczenie arcybiskupa

Jerzy Hop, były prokurator apelacyjny w Katowicach, pozostanie w areszcie przez co najmniej trzy miesiące. Sąd Okręgowy w Krakowie odrzucił dziś jego zażalenie na zastosowany dwa tygodnie temu areszt tymczasowy. Nie pomogło nawet poręczenie metropolity katowickiego arcybiskupa Damiana Zimonia.

Były szef śląskiej prokuratury apelacyjnej jest podejrzany o to, że przekroczył uprawnienia funkcjonariusza publicznego na służbie i wyłudził co najmniej 135 tys. zł. Jak ujawnił "Newsweek", pieniądze dawali Hopowi biznesmeni, a on wydawał więcej niż zarabiał.

Śledztwo na polecenie ówczesnej minister sprawiedliwości **Barbary Piwnik** wszczęła krakowska prokuratura.

Dzisiejszą decyzję sąd uzasadnił tym, że Hop mógłby utrudniać śledztwo i mataczyć. Za byłego szefa Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach poręczyło wiele osób, w tym także jeden z biskupów. Prokurator krajowy Karol Napierski potwierdził w rozmowie z "Rz", że za Hopa poręczenie złożył arcybiskup metropolita katowicki Damian Zimoń.

Sąd uznał jednak, że argumenty zawarte w zażaleniach aresztowanego i jego obrońcy nie zasługują na uwzględnienie, ponieważ zgromadzony materiał dowodowy wskazuje na duże prawdopodobieństwo, iż Hop dopuścił się zarzucanych mu czynów.

Jerzy Hop był szefem katowickiej Prokuratury Apelacyjnej od 1993 r. Nadzorował prokuratury w byłych województwach: katowickim, bielskim i częstochowskim. Prowadzone w jego sprawie postępowanie

jest pierwszym w dziejach III RP śledztwem przeciwko tak wysoko postawionemu urzędnikowi wymiaru sprawiedliwości. Jerzemu Hopowi grozi do 10 lat więzienia. Prokuratura zabezpieczyła majątek prokuratora **Jerzego Hopa**

2003-02-04, PAP, GW, nr 29

Pensję i konto byłego prokuratora apelacyjnego w Katowicach Jerzego Hopa oraz hipoteki jego dwóch nieruchomości zajęła krakowska prokuratura, prowadząca śledztwo przeciwko niemu.

"Postanowienie o zabezpieczeniu majątkowym jest już prawomocne" - poinformował PAP w poniedziałek sędzia Andrzej Almert. Sąd, rozpatrujący zażalenie Jerzego Hopa na zabezpieczenie majątku, utrzymał decyzję prokuratury w mocy.

Prokuratura postanowiła zająć 60 tys. zł z wynagrodzenia prokuratora w Prokuraturze Apelacyjnej i 60 tys. zł z jego konta bankowego oraz obciążyć hipoteki dwóch jego nieruchomości w Rybniku do wysokości 300 tys. zł.

Powodem zabezpieczenia majątkowego są grożące Jerzemu Hopowi kary grzywny i roszczenia o naprawienie szkody wyrządzonej w mieniu wartości co najmniej 135,5 tys. zł.

Przeciwko tej decyzji protestował Jerzy Hop, wskazując, iż zajęcie wynagrodzenia i konta bankowego sprowadza na jego rodzinę ciężkie skutki i nie zapewnia minimum socjalnego na utrzymanie, przy zarobkach żony wynoszących niewiele ponad 1000 zł i obciążeniach kredytowych 4 tys. zł miesięcznie.

Sąd utrzymał jednak w mocy decyzję prokuratury, powołując się na zebrany materiał dowodowy, który w wysokim stopniu czyni prawdopodobnym fakt popełnienia przez prokuratora zarzucanych mu czynów, a tym samym późniejszych obciążeń finansowych. Wskazał także, że sytuacja finansowa rodziny nie jest tak tragiczna, jak usiłuje przedstawić ją Jerzy Hop, ponieważ m.in. posiada mieszkanie, które można wynająć.

Krakowska prokuratura zarzuciła Jerzemu Hopowi przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego na służbie i wyłudzenie co najmniej 135 tys. zł oraz przestępstwa przeciwko dokumentom: poświadczanie nieprawdy w dokumentach przez funkcjonariusza publicznego z chęci zysku i posługiwanie się podrobionymi dokumentami.

Sąd Rejonowy dla Krakowa Śródmieścia w połowie listopada zeszłego roku aresztował Jerzego Hopa na trzy miesiące.

Według prokuratury, mechanizm przestępstwa polegał na tym, że prokurator wprowadzał w błąd przedstawicieli niektórych zakładów pracy co do sytuacji finansowej prokuratury i uzyskiwał od nich środki finansowe, które nie trafiały jednak na konta prokuratury. Przekazane środki potwierdzał fałszywymi fakturami zakupu urządzeń.

W sprawie są już podejrzane dwie inne osoby, związane z działalnością firmy wystawiającej fałszywe faktury.

Sprawę Jerzego Hopa przekazała do zbadania na początku czerwca zeszłego roku do Prokuratury Apelacyjnej w Krakowie ówczesna minister sprawiedliwości Barbara Piwnik. Decyzją prokuratora apelacyjnego sprawa trafiła do wydziału śledczego Prokuratury Okręgowej w Krakowie.

Materiały dotyczyły zarzutów postawionych prokuratorowi Hopowi przez tygodnik "Newsweek". W kwietniowym numerze "Newsweek" napisał, że Hop wydaje więcej niż zarabia, mieszka w luksusowym mieszkaniu w dzielnicy willowej Rybnika, on i jego żona - nauczycielka - jeżdżą luksusowymi samochodami.

Powołując się na swych rozmówców, których tygodnik nie ujawnił, "Newsweek" napisał, że Hop proponował śląskim przedsiębiorcom wpłaty na "artykuły biurowe dla prokuratury". Faktury za nie

miała wystawiać niedziałająca już firma ACS - w jej władzach zasiadali niegdyś członkowie rodziny prokuratora. Rzecznik katowickiej prokuratury powiedział gazecie, że żadne materiały biurowe nie docierały do prokuratury.

Według Hopa, współwłaścicielką zarówno jego samochodu - BMW za 280 tys. zł, jak i auta żony - BMW za 100 tys. zł oraz domu za 280 tys. zł jest teściowa, która otrzymała spadek - 300 tys. dolarów. Teściowa - mówił prokurator - "subsydiuje" i jego samego, i jego rodzinę. Sam Hop wraz z żoną zarabia - jak mówił - ok. 12 tys. zł netto. Dodatkowo zaciągnął kredyty w wys. 120 tys. zł i dwa po 100 tys. zł. Kredyty te Hop ma spłacać jeszcze przez 8 lat po 4 tys. zł miesięcznie.

W kwietniu minister sprawiedliwości Barbara Piwnik odwołała prokuratora Hopa z zajmowanego stanowiska. Przyczyną odwołania Hopa było jego publiczne zaprzeczenie, że został zobowiązany przez minister Piwnik do przesłania szczegółowych wyjaśnień dotyczących zarzutów stawianych mu przez tygodnik "**Newsweek**".

Minister Piwnik zobowiązała Jerzego Hopa do złożenia takich wyjaśnień, ale w rozmowie w Radiu Zet prokurator zaprzeczył temu. Minister Piwnik uznała, że takie zachowanie Hopa podważa zaufanie do niego, niezbędne do sprawowania funkcji prokuratora apelacyjnego, i odwołała go.

4. KONIEC PROCESU PROKURATORKI Z PODLASIA

2001/04/18, GP, Gazeta w Lublinie nr 91, str. 4

Więzenie dla prokuratoroki? Z sądu. Koniec procesu prokuratoroki z Podlasia

Prokurator **Urszula Ch.** brała łapówki od swojej znajomej w zamian za pozytywne zakończenie jej śledztwa - twierdzi prokuratura. Kobieta miała też próbować wymusić łapówkę od znanego bialskiego biznesmena. Wczoraj zakończył się jej proces.

Prokurator oskarżający byłą prokuratorokę zażądał dla niej dwóch lat więzienia.

Obrońcy i oskarżona wnieśli o uniewinnienie. Wyrok Sąd Okręgowy w Lublinie ogłosi w przyszłym tygodniu.

O prokurator Urszuli Ch. (wcześniej nosiła nazwisko Ś., zmieniła je w trakcie procesu) zrobiło się głośno w 1997 roku. Wtedy radomska prokuratura (sprawą zajmowała się prokuratura z innego miasta, bo dotyczyła ona przestępstw popełnianych przez oskarżoną, kiedy pełniła funkcję prokuratora Prokuratury Rejonowej w Białej Podlaskiej) postawiła Urszuli Ś. zarzuty korupcji. Prokuratorce odebrano immunitet.

Prezenty i oskarżenie syna

Według aktu oskarżenia, który do lubelskiego sądu trafił ponad dwa lata temu, Urszulę Ś. łączyły bliskie stosunki ze Stanisławą D., przeciw której toczyło się postępowanie w sprawie zagarnięcia przez nią mienia. Stanisława D. zdawała sobie sprawę z grożącego jej śledztwa i procesu, i to ona - zdaniem prokuratury - dotarła do Urszuli Ś. Prokuratoroka, w zamian za pieniądze i prezenty, miała podjąć się pozytywnego załatwienia sprawy Stanisławy D. Przyjaźń między kobietami trwała kilka lat. W tym czasie prokurator Urszula Ś. zapewniała Stanisławę D., że trzyma rękę na pulsie. Prokurator przyjmowała prezenty: pieniądze, biżuterię i ubrania o łącznej wartości około 10 tysięcy złotych. Układ skończył się dopiero po tym, jak sąd skazał Stanisławę D. Wcześniej jednak śledztwo przeciwko kobiecie zostało przez białą prokuraturę umorzone (decyzję tę uchylono i dlatego sprawą ostatecznie zajął się sąd).

Stanisława D. przed sądem obciążyła swoimi zeznaniami Urszulę Ś. Zrobił to też znany biański biznesmen Bogdan Ł., od którego - zdaniem prokuratury - Urszula Ś. usiłowała wymusić łapówkę. W 1995 roku kilku bandytów napadło i pobiło syna biznesmena. Niedługo potem w gabinecie Bogdana Ł. miała pojawić się Urszula Ś. i zażądać 7,5 tysiąca złotych w zamian za odstąpienie od... oskarżenia chłopaka o pobicie. Biznesmen nie dał, bialska prokuratura oskarżyła jego syna o udział w bójce i sprawa trafiła do sądu. Ten uniewinnił chłopaka i skazał rzeczywistych sprawców pobicia.

Prokurator: winna, obrońcy: niewinna

Wczoraj skończył się trwający dwa lata proces Urszuli Ś. (sprawę rozpoczynano od nowa trzy razy). Sąd udzielił głosu prokuratorowi i obrońcom. - Tego typu sprawy, ujawniane coraz częściej przez środki masowego przekazu, świadczą o nasileniu zjawiska łapownictwa i płatnej protekcji wśród sędziów i prokuratorów - mówił oskarżyciel. - Takie przypadki ugruntowują wśród ludzi przekonanie, że bez dania łapówki nie można liczyć na bezstronne rozpoznanie sprawy.

Prokurator zażądał dwóch lat więzienia dla Urszuli Ś., 15 tysięcy złotych grzywny i orzeczenia zakazu pełnienia przez nią zawodów prawniczych, a także urzędniczych w instytucjach państwowych i samorządowych na dziesięć lat.

Sama Urszula Ś. przed sądem twierdzi, że jest niewinna. Uważa, że padła ofiarą wymierzonego przeciwko niej spisku. Podobnego zdania byli wczoraj jej obrońcy. Wnieśli o uniewinnienie Urszuli Ś., twierdząc, że ze Stanisławą D. łączyła ją tylko zwykła przyjaźń, a biznesmen specjalnie przedstawił byłą prokuratorkę w złym świetle.

2001/04/25, Grzegorz Praczyk Gazeta w Lublinie nr 97, str. 3

Łapówki pani prokurator. Z sądu. Wyrok więzienia dla Urszuli Ch.

Prokurator **Urszula Ch.** z Białej Podlaskiej brała łapówki w zamian za obietnicę załatwienia sprawy w prokuraturze i sądzie - uznał wczoraj lubelski sąd. Skazał ją na dwa lata więzienia.

Sąd Okręgowy uznał Urszulę Ch. (kiedy pracowała na stanowisku prokuratora rejonowego w Białej Podlaskiej nosiła nazwisko Ś.) winną wszystkich zarzucanych jej przez prokuraturę przestępstw. Chodziło m.in. o korzyści majątkowe, jakie prokuratorka przyjmowała od Stanisławy D. w latach 1993-1996. Stanisława D. wiedziała, że toczy się przeciwko niej postępowanie dotyczące wyłudzeń ze sklepu, w którym pracowała i - poprzez koleżankę - dotarła do Urszuli Ch. Ta obiecała pomóc jej w uniknięciu odpowiedzialności karnej. - **Urszula Ch.** zapewniała Stanisławę D., że z jej sprawą będzie wszystko w porządku - mówiła wczoraj w ustnym uzasadnieniu wyroku przewodnicząca składu sędziowskiego Anna Folwarczna. - Wykorzystując swoje stanowisko, obiecywała załatwienie sprawy, za co przyjmowała korzyści majątkowe.

Za opiekę nad sprawą (prowadził ją kolega **Urszuli Ch.** z bialskiej prokuratury) prokuratorka przyjmowała od Stanisławy D. pieniądze i prezenty (m.in. ubrania i biżuteria), bawiła na urządzonych przez nią przyjęciach. Sąd uznał, że łączna wartość przyjętych przez prokuratorkę łapówek wynosiła nie mniej niż pięć tysięcy złotych. **Urszula Ch.** nie żądała korzyści majątkowych wprost. Dawała jednak to do zrozumienia, mówiąc Stanisławie D., że potrzebuje funduszy np. na opłacenie stancji. Obie kobiety utrzymywały kontakty nawet wtedy, kiedy sprawa przeciwko Stanisławie D. trafiła do sądu. Znajomość skończyła się dopiero wtedy, kiedy Stanisławę D. skazano.

Drugi zarzut, jaki prokuratura postawiła Urszuli Ch., to żądanie łapówki od znanego białskiego biznesmena Bogdana Ł. W 1995 roku kilku chuliganów napadło i pobiło jego syna. Postępowanie policyjne w tej sprawie nadzorowała z ramienia prokuratury **Urszula Ch.** Wkrótce zwróciła się do biznesmena z niedwuznaczną propozycją zapłaty 7,5 tysiąca złotych w zamian za odstąpienie od oskarżenia syna za udział w bójce. Biznesmen nie zapłacił, akt oskarżenia przeciwko jego synowi trafił do sądu, który chłopaka uniewinnił.

Sprawę łapówek prokuratorzki z Podlasia zajęła się prokuratura z Radomia. Proces Urszuli Ch. w lubelskim Sądzie Okręgowym trwał dwa lata. Dwa razy sprawę przerywano i rozpoczynano.

W sądzie **Urszula Ch.** nie przyznała się do winy. Tuż po rozpoczęciu procesu odmówiła składania wyjaśnień, decydując się na to pod koniec sprawy. Nakreśliła wtedy wizję spisku, którego stała się ofiarą. Sąd jednak w to nie uwierzył. Uznał, że zeznania świadków obciążających Urszulę Ch. są wiarygodne i wzajemnie się uzupełniają.

Oprócz kary więzienia **Urszula Ch.** będzie musiała zapłacić siedem tysięcy złotych grzywny. Sąd zabronił jej też pełnienia zawodu prokuratora, sędziego albo adwokata na pięć lat. Na ogłoszeniu wyroku nie pojawili się ani **Urszula Ch.**, ani jej obrońcy.

Wczorajszy wyrok jest nieprawomocny. Strony mogą złożyć apelację do Sądu Apelacyjnego.

2002/10/10, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie nr 237, str. 4

Proces byłej prokurator od nowa. Sądowa fuszerka

Z powodu wielu błędów Sąd Apelacyjny uchylił wczoraj wyrok lubelskiego Sądu Okręgowego, skazujący byłą prokurator za branie łapówek. Sprawa rozpocznie się od nowa

Wyrok nie może się ostać, bo jest dotknięty licznymi uchybieniami mówił sąd w uzasadnieniu takiej decyzji.

Przypomnijmy, że w kwietniu ubiegłego roku lubelski Sąd Okręgowy skazał byłą prokurator z Białej Podlaskiej Urszulę Ch. na dwa lata więzienia za łapownictwo. Sąd uznał, że prokuratorzka w latach 1993-1996 przyjmowała drogie prezenty w zamian za opiekę nad jednym z toczących się w prokuraturze postępowań, a dotyczącym jej znajomej. **Urszula Ch.** została także skazana za żądanie łapówki od znanego białskiego biznesmena w zamian za odstąpienie od oskarżenia jak się zresztą okazało niesłusznego jego syna.

Wyrok Sądu Okręgowego był jednak nieprawomocny i dwaj obrońcy Urszuli Ch. odwołali się od niego. Zarzucali sędziom wyrokującym w sprawie popełnienie wielu błędów. Nieoczekiwanie na rozprawie przed Sądem Apelacyjnym poparł ich prokurator. Ten wyrok jest sprzeczny z prawem mówił.

Wczoraj całą sprawę rozstrzygnął sąd. Uchylając orzeczenie wytknął Sądowi Okręgowemu szereg błędów. Okazało się, że sąd niewłaściwie przeprowadził postępowanie dowodowe. Nie przeprowadził na przykład konfrontacji między świadkami, którzy złożyli sprzeczne ze sobą zeznania, bezprawnie dołączył do sprawy łapówek akta innej z toczących się przed sądem spraw. To, co w wyroku ustalił Sąd Okręgowy, nie miało też pokrycia w dowodach. Chodziło tu np. o kwoty łapówek.

Proces zacznie się więc od nowa przed lubelskim Sądem Okręgowym.

2003-02-06, Grzegorz Praczyk, Gazeta w Lublinie, nr 31

Prokurator się nie przyznaje. Proces byłej prokurator z Białej Podlaskiej Urszuli Ch. zaczął się w środę przed lubelskim sądem

W sprawie Urszuli Ch. już raz zapadł wyrok skazujący. Jednak okazał się on jedną z największych fuszerek w historii Sądu Okręgowego w Lublinie. Sąd Apelacyjny wytknął orzeczeniu liczne błędy i zdecydował, że proces musi być przeprowadzony jeszcze raz.

Urszula Ch. - jak twierdzi prokuratura - za łapówki obiecała swojej przyjaciółce pozytywne dla niej załatwienie toczącego się w prokuraturze postępowania. Z aktu oskarżenia wynika, że wzięła za to podarunki - m.in. biżuterię o łącznej wartości 10 tys. zł. To nie wszystko. Prokurator z Białej Podlaskiej

miała też żądać od jednego z miejscowych biznesmenów 7,5 tys. zł łapówki za odstąpienie od oskarżenia o pobicie jego syna.

Wczoraj prokurator zaprzeczyła zarzutom prokuratorskim. Nie chciała składać wyjaśnień, sąd przeczytał więc to, co mówiła w prokuraturze. Urszuli Ch. grozi wieloletnie więzienie.

Sprawa Urszuli Ch. zaczęła się w środę już po raz trzeci. Dwa razy proces przerywano, bo między rozprawami minęło więcej niż 35 dni. Trzeci raz o powtórzeniu sprawy zdecydował Sąd Apelacyjny.

2003-02-06, Maciej Podgórski, Rzepa, nr 31

Była prokurator znów przed sądem, Lublin Proces o łapownictwo od początku po czterech latach

Urszula Ś., oskarżona o to, że jako prokurator brała łapówki lub ich żądała w zamian za obietnice umorzenia postępowań karnych, stanęła wczoraj ponownie przed lubelskim Sądem Okręgowym. Sąd Apelacyjny w październiku 2002 r. uchylił bowiem skazujący wyrok SO i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania w I instancji.

Sprawa, uwikłana w barwne szczegóły obyczajowe, była swego czasu bardzo głośna. SO stwierdził, że Urszula Ś., powołując się na wpływy w wymiarze sprawiedliwości, przyjęła od Stanisławy D. biżuterię, odzież i pieniądze o łącznej wartości nie mniejszej niż 5 tys. zł. W zamian obiecała, że załatwi umorzenie postępowania karnego przeciwko Stanisławie D. Natomiast od biznesmena Bogdana Ł. zażądała 7,5 tys. zł łapówki za umorzenie nadzorowanego przez nią dochodzenia przeciwko jego synowi w sprawie karnej. Stanisława D. i biznesmen, świadkowie oskarżenia, potwierdzili w SO winę Urszuli Ś. Podsządna, odpowiadająca z wolnej stopy, nie przyznała się do winy.

W kwietniu 2001 r., po dwuletnim procesie, SO skazał Urszulę Ś. na 2 lata więzienia, 7 tys. zł grzywny oraz 5-letni zakaz zajmowania stanowisk sędziego, prokuratora i adwokata. Zasądził też od oskarżonej ponad 4 tys. zł tytułem kosztów sądowych. Apelację złożyli obrońcy.

Lubelski Sąd Apelacyjny zakwestionował niemal wszystkie elementy orzeczenia SO: poprawność ustaleń faktycznych, sposób przeprowadzenia i kompletność postępowania dowodowego, ocenę zebranego w sprawie materiału oraz sposób uzasadnienia wyroku. Uchylił wyrok i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania.

Wczoraj Urszula Ś. nie przyznała się do winy i skorzystała z prawa odmowy wyjaśnień. Sąd rozpoczął więc odczytywanie jej wyjaśnień z poprzedniego procesu, z których wynikało m.in., że Bogdana Ł. nie znała przed procesem, a Stanisława D., jej przyjaciółka, obciążała ją za namową Bogdana Ł.; w zamian za zeznania przeciwko niej biznesmen spłacił długi Stanisławy D. Tę wersję oskarżona potwierdziła podczas wczorajszej rozprawy.

5. PROCES PROKURATORA Z CIESZYNA

2003-01-13, PAP, Rzepa, s. C2

Proces prokuratora z Cieszyna - od nowa

Sąd Okręgowy w Katowicach z powodu uchybień procesowych uchylił w piątek wyrok uniewinniający prokuratora odpowiadającego za spowodowanie po pijanemu wypadku, w którym zginął 40-letni mężczyzna. Sprawę skierowano do ponownego rozpatrzenia. Po prawie 7 latach postępowania sąd w Dąbrowie Górniczej uniewinnił w sierpniu ub.r. byłego prokuratora rejonowego Zbigniewa T. z Cieszyna od zarzutu spowodowania śmiertelnego wypadku po alkoholu. Sąd uznał, że sprawy nie udało się wyjaśnić z powodu błędów policji, popełnionych po wypadku. Apelację złożyła prokuratura uznając, że błędy policjantów nie musiały przesądzić o uniewinnieniu. Ponadto sąd w Dąbrowie Górniczej nie zapewnił rodzinie ofiary możliwości pełnego uczestniczenia w procesie. Prokurator

pracuje obecnie w prokuraturze w Bielsku. (PAP)

6. SPALIĆ OBRAZY

2003/10/02, Dorota Wilk, Piotr Gądek, Wiesław Banach Gazeta Wyborcza nr 230, s. 9

Sędzia kazał spalić obrazy. Zostały tylko zdjęcia zrobione przez celników

Te obrazy i 17 innych spalono w kotłowni jarosławskiego sądu. - To były zabytkowe ikony - mówią celnicy.

Sędzia Maciej Wilczyński z Sądu Rejonowego w Jarosławiu wydał wyrok o spaleniu 23 obrazów, które celnicy znaleźli w bagażu Ukraińca na przejściu w Korczowej. Ponieważ Ukrainiec nie chciał zapłacić 4 tys. zł cła, sprawa trafiła do sądu. W dokumentach wysłanych do sądu celnicy napisali jedynie, że są to „obrazy malowane ręcznie na drewnie”. W maju - decyzją sądu - obrazy spłonęły w sądowej kotłowni.

Co było na obrazach?

- Jakieś postaci - tłumaczy wiceprezes sądu Anna Sierpińska.

Czy sędzia nie miał wątpliwości, że mogą to być ikony?

- Sędzia się na tym nie zna.

Dlaczego sąd nie powołał biegłego, który oceniłby wartość obrazów?

- Bo to zadanie urzędu celnego.

Krystyna Mielnicka, rzecznik prasowy Izby Celnej w Przemyślu: - To na pewno były ikony, a co innego? Niektóre były w koszulkach złotego koloru. Nie wiadomo tylko, ile miały lat.

Wczoraj Mielnicka przysłała do redakcji zdjęcia ikon. Celnicy wykonali je na własny użytek. Zdjęć nie było jednak w dokumentacji dostarczonej do sądu. - Nie mamy obowiązku ich dołączania - wyjaśnia rzeczniczka.

- Niewykluczone, że wobec sędziego zostanie wszczęte postępowanie dyscyplinarne - mówi Arkadiusz Trojanowski, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krośnie. Już w tej chwili przełożeni Wilczyńskiego nie mają wątpliwości, że sędzia popełnił błąd. - Zasada jest taka, że nie niszczy się przedmiotów, które mają jakąkolwiek wartość, ale przekazuje na rzecz skarbu państwa - wyjaśnia Marek Byliński, wiceprezes Sądu Okręgowego w Krośnie i kierownik ośrodka zamiejscowego w Przemyślu.

Co stało się z koszulkami, które pokrywały ikony - nie wiadomo. Sędzia Wilczyński był dla nas nieuchwytny.

Dla Gazety - Wiesław Banach - dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku *

To najprawdopodobniej ikony XIX-wieczne, pochodzące z jednego warsztatu. Nie były to może arcydzieła malarstwa, ale mają swoją wartość historyczną. To w końcu dzieła sztuki. Najciekawszy z tych obrazów to ten przedstawiający Matkę Boską. Koszulka na ikonie to nie jest to raczej złoto, ale blacha, która imituje ten metal. Sądząc po niewielkich wymiarach tych ikon, nie pochodziły z cerkwi, lecz z domów. Na wolnym rynku cena XIX-wiecznej ikony waha się w granicach od kilkuset do tysiąca złotych.

* Muzeum w Sanoku ma największą w Polsce kolekcję ikon

2003/10/03, Grzegorz Gładysz, Maciej Lubik, Gazeta Wyborcza nr 231, s. 9

Jak ikony zniknęły w sądzie. A piec był gazowy

Czy zabytkowe ikony rzeczywiście spłonęły w kotłowni jarosławskiego sądu? Kotłowni gazowej? Jeżeli nie, to co się z nimi naprawdę stało?

Wczoraj zastępca rzecznika dyscyplinarnego Sądu Okręgowego w Krośnie wszczął postępowanie wyjaśniające w sprawie wyroku wydanego przez sędziego Macieja Wilczyńskiego. Dotyczył on 23 XIX-wiecznych ikon, które celnicy z Korczowej znaleźli w bagażu obywatela Ukrainy. Ponieważ nie zapłacił

cia, sprawa trafiła do sądu. Celnicy ocenili łączną wartość ikon na ok. 8 tys. zł. Muzealnicy twierdzą, że na wolnym rynku jedna taka ikona może kosztować do tysiąca złotych.

Sędzia Wilczyński nakazał ikony spalić. Nie obejrzał ich przedtem. W maju - jak stwierdza protokół zniszczenia - ikony spłonęły w kotłowni Sądu Rejonowego w Jarosławiu. Tyle że ta kotłownia jest... na gaz. Po naszych publikacjach pojawiły się jednak sugestie, że obrazy nie zostały spalone. Dlatego też sprawę od wczoraj wyjaśnia rzecznik dyscyplinarny sądu.

Dla Gazety - Grzegorz Gładysz - prezes Sądu Okręgowego w Krośnie

Dorota Wilk: W jarosławskim sądzie się mówi, że pracownicy sądu, które podpisały się pod protokołem o spaleniu obrazów, nie były przy tym obecne.

Grzegorz Gładysz: Będą w tej sprawie przesłuchiwane. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Krążą plotki, że obrazy nie spłonęły, tylko zabrali je pracownicy sądu.

- Dlatego właśnie zbieramy oświadczenia od pracowników sądu i przede wszystkim tę sprawę wyjaśniamy.

Maciej Lubik - szef działającego w Głównym Urzędzie Ceł biura RILO *

Nie wierzę w to, że te ikony spłonęły. Sędzia musiał wiedzieć, że to ikony. Dziecko by to dostrzegło.

Mam zdjęcia wszystkich 23 ikon, które rzekomo spalił jarosławski sędzia. Przysłali nam je celnicy z Korczowej. Od zeszłego roku policjanci i celnicy ze 143 krajów skupionych w RILO przesyłają nam informacje o wszystkich dziełach sztuki, które uda im się przechwycić. Dzięki temu można odnaleźć ich prawowitych właścicieli.

RILO (Regional Intelligence Liaison Office) to biuro wymiany informacji celnej na Europę Środkową i Wschodnią

2003/10/06, Dorota Wilk, Marek Celej, not. Dw Gazeta w Rzeszowie nr 233, s. 1

Sędzia na spalonym. Jarosławski sędzia, który spalił zabytkowe ikony, może nawet stracić stanowisko

Pracowników jarosławskiego sądu, w tym sędziego Macieja Wilczyńskiego, przesłuchiwał Janusz Wilusz, rzecznik dyscyplinarny Sądu Okręgowego w Krośnie. Wilczyński nakazał spalić 23 XIX-wieczne ikony, które przemycał obywatel Ukrainy. W ub. tygodniu opisaliśmy tę sprawę. Celnicy podali, że to „obrazy malowane ręcznie na drewnie”. Sędzia nie obejrzał ikon przed wydaniem wyroku. Po opisaniu sprawy przez „Gazetę”, zainteresowali się nią przełożeni sędziego. Wezwali Wilczyńskiego na przesłuchanie. - Nie powinien być palić obrazów - mówi Grzegorz Gładysz, prezes Sądu Okręgowego w Krośnie. Dodaje też, że po zapoznaniu się ze sprawą wobec sędziego zostanie wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Dziś rzecznik sądu dyscyplinarnego może postawić Wilczyńskiemu zarzut przekroczenia uprawnień, a także poświadczenie nieprawdy.

Według protokołu z komisijnego zniszczenia ikon przy spaleniu miały asystować dwie pracownice sądu. - Nie były jednak obecne - wyjaśnia Gładysz.

Kto zatem spalił obrazy? - Sędzia z konserwatorem instalacji sanitarnych. Obaj zeznali, że spalili je poza budynkiem sądu - dodaje prezes.

Według informacji, które przekazała Anna Sierpińska, wiceprezes sądu w Jarosławiu, ikony miały spłonąć w sądowej kotłowni. - To pomyłka, nieporozumienie wynikłe w trakcie rozmowy z prasą. W sądzie jest tylko kotłownia gazowa - twierdzi Gładysz.

Rzecznik dyscyplinarny sądu wyjaśni też, czy obrazy naprawdę zostały spalone. - Według dotychczasowych zeznań tak właśnie było. Zbieramy w tej sprawie oświadczenia od pracowników sądu - dodaje Gładysz.

Czym może zakończyć się postępowanie dyscyplinarne wobec Wilczyńskiego? - Może otrzymać naganę, może zostać przeniesiony na inne stanowisko albo wydany z zawodu - wyjaśnia Arkadiusz Trojanowski, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krośnie.

Dorota Wilk – Dla Gazety - Marek Celej - rzecznik Krajowej Rady Sądownictwa

Nie do pomyślenia jest, że można wydać decyzję o zniszczeniu dzieł sztuki. To lekkomyślność ze strony sędziego. Jestem sędzią i zawsze proszę o okazanie dowodów rzeczowych przed wydaniem wyroku. Nie chcę się wypowiadać na temat jarosławskiego sędziego przed zakończeniem

postępowania dyscyplinarnego. Nie chcę też myśleć, że sędzia mógł popełnić coś gorszego. **NOT. DW**

2003/10/08, Gazeta w Rzeszowie nr 235, str. 1 DW

Sędzia w opałach Z sądu. Spalił ikony - cd.

Jarosławskiemu sędziemu, który spalił 23 zabytkowe ikony, grozi wydalenie z zawodu. Wczoraj przedstawiono mu zarzuty

- Sędzia nie miał prawa wydać wyroku o spaleniu ikon, a także nie mógł sam ich palić. Zgodne z prawem było jedynie orzeczenie o przepadku ikon - wyjaśnia Arkadiusz Trojanowski z Sądu Okręgowego w Krośnie. Leszek Wilusz, rzecznik sądu dyscyplinarnego, postawił sędziemu Maciejowi W. trzy zarzuty. Dotyczą one naruszenia przepisów kodeksu karno-skarbowego, naruszenia regulaminu dotyczącego wykonywania orzeczeń oraz poświadczenie nieprawdy.

- Rzecznik zarzucił sędziemu poświadczenie nieprawdy w protokole z komisijnego zniszczenia ikon. Sędzia napisał, że brały w tym udział dwie osoby. One jednak nie były przy spaleniu obecne - dodaje Trojanowski.

Sędzia Maciej W. ma teraz 14 dni na złożenie dodatkowych wyjaśnień. Potem sprawa trafi do sądu dyscyplinarnego przy Sądzie Apelacyjnym w Rzeszowie.

- Jeżeli sąd uzna zarzuty za zasadne, wymierzy sędziemu karę. Najniższa to nagana, najwyższa - wydalenie z zawodu. Jeżeli potwierdzi się zarzut poświadczenia nieprawdy, może też sprawę skierować do prokuratury, bowiem ten czyn nosi znamiona przestępstwa - dodaje Trojanowski.

Sąd Rejonowy w Jarosławiu rozpatrywał sprawę Ukraińca, który przemycił do Polski 23 zabytkowe ikony. W dokumentach przesłanych do sądu przez urząd celny znalazła się tylko informacja, że są to „obrazy malowane ręcznie na drewnie”.

Maciej W., sędzia prowadzący sprawę, wydał wyrok o przepadku ikon i ich spaleniu. Według wyjaśnień złożonych rzecznikowi dyscyplinarnemu ikony spalił na działce konserwatora urządzeń technicznych jarosławskiego sądu. Po ujawnieniu przez „Gazetę” tej sprawy, sędzia Maciej W. został odsunięty na miesiąc od wykonywania obowiązków służbowych.

2003/10/11-2003/10/12, Gazeta w Rzeszowie nr 238, str. 4 DOROTA WILK

Co za sędzia? Gazeta w Radiu Forum. Ze słuchaczami o spalonych ikonach

Czy skonfiskowane przemytnikowi ikony rzeczywiście spłonęły? A może oddać popiół do analizy? - podpowiadali wczoraj słuchacze „Radia Forum”, z którymi rozmawialiśmy o oburzającym wyroku wydanym na malowidła przez jarosławskiego sędziego

Gazeta ujawniła, że 23 ikony odebrane na granicy przez celników jarosławski sąd nakazał spalić i sędzia twierdzi, że dokonał tego osobiście na działce sądowego konserwatora centralnego ogrzewania. Po naszych publikacjach sędzia stanął przed rzecznikiem dyscyplinarnym. Wczoraj o ikonach rozmawialiśmy ze słuchaczami „Radia Forum” - przedpołudniowej audycji Radia Rzeszów.

Prosto z samochodu pobiegłem do budki telefonicznej, bo nie mogłem w to uwierzyć - mówił nam słuchacz, który chciał się upewnić, czy dobrze w radiu usłyszał o spaleniu malowideł. Podobnie reagowali inni: - Ręce mi opadają. Tutaj nie chodzi o to, że spłonęły dzieła zabytkowe, ale przedmioty kultu religijnego, to po prostu profanacja! - irytował się słuchacz. - To tak jakby ktoś zabrał z synagogi modlitewniki i je spalił - dodał.

Rozmówcy nie kryli zdziwienia, że jarosławski sędzia, który wydał wyrok o spaleniu ikon, sam zadał sobie trud ich zniszczenia. - Szkoda że w innych sprawach sędziowie nie są tak gorliwi - zastanawiała się słuchaczka. Większość rozmówców audycji zgodnie stwierdziła, że sędzia powinien ponieść za swój czyn surową karę. - Taki sędzia nie powinien już więcej orzekać, skoro nie zna się na prawie. Ale pewnie skończy się tylko na udzieleniu mu nagany - stwierdził jeden ze słuchaczy. - Ikony stały się własnością skarbu państwa, nie mógł więc nimi rozporządzać sędzia. Pali się narkotyki, podróbki, ale nie dzieła, które mają wartość - denerwował się kolejny mieszkaniec Podkarpacia. Słuchacze nie mogli uwierzyć, że sędzia nie znał się na obrazach.

- Ja kończyłem technikum mechaniczne i potrafię rozpoznać ikony, a sędzia nie potrafi? To śmieszne - stwierdził mężczyzna. Nikt nie wierzył, że ikony zostały spalone. - Może już dawno są za granicą kraju

- zastanawiał się słuchacz audycji rzeszowskiego radia. Niektórzy słuchacze sugerowali nawet, by zbadać popiół z pogorzelniska, w którym spłonęły ikony.

- U mnie w zakładzie spaliła się kiedyś kasetka z pieniędzmi, wystaliśmy popiół do ekspertyzy i bank zwrócił nam całą kwotę - proponował kolejny słuchacz. Niestety, popiołu już nie ma, bo ikony spłonęły w maju.

2003/10/15, Dorota Wilk Gazeta w Rzeszowie nr 241, str. 3

Nagany za obrazy Jarosław. Spalenie ikon w prokuraturze

Sprawą ikon spalonych przez jarosławskiego sędziego zajmie się prokuratura. Prezes sądu w Jarosławiu już ukarała dwóch pracowników naganą

Prezes jarosławskiego sądu Barbara Stukan-Pytlowany ukarała naganą pracownicę sądu, która podpisała się pod protokołem komisijnego zniszczenia ikon, chociaż przy spaleniu nie była. Druga ukarana osoba to pracownik obsługi technicznej, który razem z sędzią spalił obrazy. Według zeznań złożonych przed rzecznikiem dyscyplinarnym sądu, ikony spalone zostały na działce pracownika sądu. Czym mogą skutkować nagany? - Mogą mieć wpływ na dalszy awans tych osób - wyjaśnia prezes jarosławskiego sądu. - To wszystko, co w tej sprawie mogłam zrobić jako przełożona, reszta należy do prokuratury i sądu dyscyplinarnego - dodaje.

Sprawą spalenia ikon zajmie się też prokuratura w Lubaczowie. - Skierowaliśmy do prokuratury sprawę sfałszowania protokołu z komisijnego spalenia ikon - mówi Arkadiusz Trojanowski, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krośnie.

Przy spaleniu, według zapisu w protokole, miały być obecne dwie pracownice sądu i sędzia Maciej W., który wydał wyrok. Okazało się, że pracownice sądu nie były przy ich zniszczeniu.

Maciej W., który nakazał spalić ikony, został zawieszony w czynnościach służbowych. Rzecznik dyscyplinarny sądu zarzucił mu, że złamał prawo wydając taki wyrok i że nie miał prawa sam palić obrazów. Zarzucił mu też poświadczenie nieprawdy w protokole ze zniszczenia ikon. Sprawą zajmie się sąd dyscyplinarny, który może ukarać sędziego karą od nagany poprzez wydalenie z zawodu.

2003/10/18-2003/10/19, Dorota Wilk Gazeta w Rzeszowie nr 244, str. 1

Polecają głowy za ikony?

Jarosławski sędzia, który spalił ikony, złamał nie tylko swoją karierę. W poniedziałek stanowiska mogą stracić także jego przełożone

Jeżeli w sądzie jest bałagan, są nieprawidłowości, to rzeczą oczywistą jest to, że lecą głowy - mówi Barbara Mąkosa- -Stępkowska, dyrektor biura informacji Ministerstwa Sprawiedliwości.

Do Kolegium Sądu Okręgowego w Krośnie wpłynęły wnioski o odwołanie przełożonych sędziego Macieja W., który nakazał spalenie 23 zabytkowych ikon znalezionych przez celników w bagażu Ukraińca.

Wnioski o odwołania złożyła prezes jarosławskiego sądu Barbara Stukan-Pytlowany. Dotyczą przewodniczącej wydziału karnego Haliny Szczepankiewicz-Początek i kierownika sekcji wykonawczej Alicji Jaskóły.

Dlaczego prezes jarosławskiego sądu chce głów dwóch sędziów? - Za brak nadzoru i niewywiązywanie się ze swoich obowiązków - tłumaczy Arkadiusz Trojanowski, rzecznik Sądu Okręgowego w Krośnie. - Obie te osoby są odpowiedzialne za to, co działo się w ich wydziałach - dodaje.

To właśnie w wydziale karnym pracował sędzia Maciej W., który wydał wyrok o spaleniu zabytkowych ikon. Natomiast sędzia z sekcji wykonawczej powinna nadzorować wykonanie wyroku.

O losie szefów tych wydziałów zadecyduje prezes Sądu Okręgowego w Krośnie Grzegorz Gładysz, po zasięgnięciu opinii kolegium, w którego skład wchodzi sędziowie sądu okręgowego i sądów rejonowych. To oni ocenią skalę zaniedbań, których dopuściły się szefowe obydwu wydziałów i wydadzą opinię czy powinny być za to odwołane ze stanowisk.

Kolegium zbierze się w poniedziałek. Jego opinia nie jest jednak wiążąca dla prezesa sądu okręgowego. To on podejmie ostateczną decyzję.

[-] Sędzia Maciej W. i spalone ikony

Sędzia Maciej W., wydał wyrok o spaleniu 23 zabytkowych ikon, które do Polski przemyślił obywatel Ukrainy Zoya K. Ikony spłonęły na działce pracownika obsługi technicznej sądu. Sędzia Maciej W. był przy tym. Po publikacjach „Gazety” sprawą zainteresował się rzecznik dyscyplinarny sądu, który zarzucił sędziemu, że złamał prawo, wydając wyrok o spaleniu obrazów. Nie powinien był także palić ich osobiście. Rzecznik dyscyplinarny zarzucił mu ponadto poświadczenie nieprawdy w protokole z komisijnego zniszczenia ikon. Sędzia Maciej W. został zawieszony w czynnościach. Jego sprawą zajmie się sąd dyscyplinarny, który może wymierzyć mu karę. Sprawą też zajmie się prokuratura.

2003/10/21, DW Gazeta w Rzeszowie nr 246, str. 1

Lustracja sądu Spalenie ikon. Kto jeszcze za to polecał?

Przewodnicząca wydziału karnego straciła wczoraj stanowisko, a jarosławski sąd za kilka dni będzie lustrwany

W poniedziałek zebrało się Kolegium Sądu Okręgowego w Krośnie. To ciało złożone z dziesięciu sędziów. Rozpatrywali wniosek prezes jarosławskiego sądu Barbary Stukan-Pytlowany o usunięcie ze stanowisk przewodniczącej wydziału karnego i szefowej sekcji wykonawczej tego sądu. Wniosek o ich odwołanie ma związek ze sprawą spalenia zabytkowych ikon. 23 malowidła spłonęły na działce pracownika technicznego sądu, bo tak zdecydował sędzia Maciej W.

Zdaniem prezes jarosławskiego sądu obie nie wywiązały się ze swoich obowiązków, miały bowiem nadzór nad wykonywaniem wyroku wydawanego przez sędziego Macieja W., który nakazał spalić obrazy. - Kolegium uznało, że należy odwołać z funkcji przewodniczącą wydziału karnego Halinę Szczepankiewicz-Początek za brak nadzoru nad wykonywaniem orzeczeń - mówi Arkadiusz Trojanowski, rzecznik Sądu Okręgowego w Krośnie.

Na stanowisku pozostanie szefowa wydziału wykonawczego Alicja Jaskuła. - Kolegium uznało, że do jej obowiązków nie należał nadzór nad wykonywaniem orzeczeń w zakresie dowodów rzeczowych - dodaje rzecznik.

Na tym nie koniec postanowień. Kolegium uznało, że należy przeprowadzić w jarosławskim sądzie kontrolę, i to nie tylko wyroków wydawanych przez sędziego Macieja W., ale też innych sędziów. - Chodzi o wyroki związane z dowodami rzeczowymi. Należy sprawdzić, czy w przypadku innych wyroków nie było również jakichś nieprawidłowości - dodaje Trojanowski. Kontrolę ma przeprowadzić sędzia wizytator z Sądu Okręgowego w Krośnie. - Może się ona zacząć za kilka dni. Ile potrwa? Tego nie wiemy - wyjaśnia rzecznik.

2003/11/07, DW, Gazeta w Rzeszowie nr 260, str. 3

Awans do okręgówki Jarosław. Nominacja prezes sądu

Afera z ikonami nie przeszkodziła w awansie Barbarze Stukan-Pytlowany, szefowej sądu, w którym doszło do spalenia obrazów

Wczoraj nominację na sędziego Sądu Okręgowego w Krośnie otrzymała Barbara Stukan-Pytlowany, prezes jarosławskiego sądu. To w tym sądzie pracuje Maciej W., sędzia asesor, który nakazał spalić 23 zabytkowe ikony. Wobec sędziego zostało wszczęte postępowanie dyscyplinarne. Przełożeni zarzucili mu poświadczenie nieprawdy i złamanie przepisów dotyczących przepadku dowodów rzeczowych. W związku z aferą stanowisko straciła przewodnicząca wydziału karnego za brak nadzoru.

Czy w przypadku ujawnienia nieprawidłowości w jarosławskim sądzie nominacja prezes nie budzi wątpliwości?

- Kolegium Sądu Okręgowego w Krośnie nie dopatrzyło się jakichkolwiek uchybień ze strony prezes jarosławskiego sądu w sprawie spalenia ikon. Nominacja została zatwierdzona przed ujawnieniem sprawy i nie było podstaw do jej wstrzymania, tym bardziej że pani prezes praktykuje w naszym sądzie i ma opinię bardzo dobrego sędziego - mówi Arkadiusz Trojanowski, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krośnie.

- Ponadto to ona wniosowała o odwołanie ze stanowisk osób, które miały nadzór nad asesorem sądowym - dodaje.

Nominacja prezes Barbary Stukan-Pytlowany została pozytywnie zaopiniowana przez sędziego wizytatora oraz kolegium sędziów Sądu Okręgowego w Krośnie, a następnie przez Krajową Radę Sądownictwa. DW

Dla Gazety - Barbara Mąkosa-Stępkowska z Ministerstwa Sprawiedliwości

Prezes sądu odpowiada za sprawy administracyjne w sądzie, a nie za orzecznictwo sądowe. Szef nie może ingerować w toczące się postępowania i podważać decyzji swoich sędziów, a nie jest w stanie sprawdzać wszystkich wyroków. Nie ma więc podstaw do tego, by prezes jarosławskiego sądu nie otrzymała nominacji na sędziego sądu okręgowego. To tak jakby ordynatorowi oddziału zabronić pracy w innym szpitalu tylko dlatego, że na jego oddziale jakiś lekarz popełnił błąd.

2003/11/14, DW Gazeta w Rzeszowie nr 265, s. 3

Po kontroli w sądzie. Za dużo palili

W jarosławskim sądzie rejonowym zbyt często wydawano orzeczenia o spaleniu dowodów rzeczowych, palono przede wszystkim papierosy z przemytu. Niszczono też wódkę. Wykryła to kontrola przeprowadzona w sądzie po tym, jak nasza „Gazeta” ujawniła, że jeden z **sędziów** spalił zabytkowe ikony

Zbadano wyroki z ostatnich trzech lat. **Sędzia** wizytator z Sądu Okręgowego w Krośnie sprawdzał, w jaki sposób przechowywano dowody rzeczowe, jakie zapadały wyroki i jak były one wykonywane. - Stwierdzono, że dokumentacja związana z dowodami rzeczowymi była prowadzona starannie. Nie można mieć też zastrzeżeń do komisji, która zajmowała się niszczeniem - wyjaśnia Arkadiusz Trojanowski, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Krośnie.

- Niestety, sąd jarosławski nadmiernie przyjął zasadę niszczenia dowodów rzeczowych - dodaje rzecznik. Chodzi głównie o sprawy związane z przemytem papierosów i alkoholu. Bardzo często - jak wynika z protokołu pokontrolnego - jarosławscy **sędziowie** wydawali wyroki o spaleniu papierosów. - Sprawy dotyczyły spalenia od kilku do kilkudziesięciu paczek papierosów, niszczone też wódkę, ale nie były to jakieś duże ilości. Nie dopatryliśmy się w tych orzeczeniach łamania prawa. Niemniej jednak pouczyliśmy **sędziów**, by nie orzekali niszczenia, a oddawali dowody do urzędów skarbowych - dodaje Trojanowski.

2003/12/17, Gazeta w Rzeszowie nr 293, str. 3

DOROTA WILK, JULIA PITERA, NOT. DW, ANNA GODZISZ, NOT. PG

Sąd Apelacyjny. Sprawa spalenia zabytkowych ikon - Sędzia może pracować

Jarosławski sędzia powinien być przeniesiony do pracy w innym sądzie orzekł sąd dyscyplinarny. Uznał, że pozbawienie Macieja W. prawa wykonywania zawodu byłoby zbyt dotkliwą karą za spalenie zabytkowych ikon.

Wczoraj sąd dyscyplinarny przy Sądzie Apelacyjnym w Rzeszowie uznał jarosławskiego sędziego Macieja W. za winnego rażącego złamania przepisów prawa i obrazy godności sędziego. Maciej W. w maju tego roku wydał wyrok o spaleniu 23 zabytkowych ikon pochodzących z XIX wieku i sam je spalił.

Ikony przechwycili na granicy przemyscy celnicy. W wysłanych do jarosławskiego sądu dokumentach napisali jedynie, że są to obrazy ręcznie malowane na drzewie. Gdy sprawę ujawniła Gazeta, rzecznik dyscyplinarny przy Sądzie Okręgowym w Krośnie stwierdził, że Maciej W. naruszył prawo. Ponadto poświadczyl nieprawdę w protokole ze zniszczenia ikon.

Rzecznik skierował sprawę do sądu dyscyplinarnego. Ten stwierdził, że Maciej W. powinien być przeniesiony do pracy w innym sądzie. To jedna z wyższych kar. Po niej jest już tylko wydalenie z zawodu. Byłoby to jednak niewspółmierne do przewinienia - mówi Bogumiła Burda, rzecznik prasowy Sądu Apelacyjnego w Rzeszowie. Wyrok nie jest prawomocny.

Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że od wyroku zamierza odwołać się rzecznik dyscyplinarny sądu w Krośnie, który wnioskował o zakaz wykonywania zawodu przez Macieja W. Jeżeli tak będzie, oznacza to kolejną rozprawę, ale tym razem przed Sądem Najwyższym. Gdyby jednak wyrok rzeszowskiego sądu się uprawomocnił, o tym, gdzie Maciej W. będzie pracował, zadecyduje minister sprawiedliwości dodaje Burda.

Sędzia Maciej W. po ujawnieniu sprawy został zawieszony w czynnościach służbowych. Sprawę spalenia ikon zajęła się też prokuratura w Lubaczowie, która prowadzi śledztwo w sprawie

sfalszowania protokołu spalania ikon. Przy spaleniu miały uczestniczyć dwie pracownice sądu, ale ich przy tym nie było. Na razie prowadzone jest śledztwo w tej sprawie i za wcześnie mówić o końcowych wynikach - mówi Jan Michalczyński, prokurator rejonowy w Lubaczowie. **DOROTA WILK**

DLA GAZETY - JULIA PITERA - prezes Transparency International Polska

To niedopuszczalne, by sędzia palił ikony. Myślę, że kara wymierzona mu przez sąd dyscyplinarny powinna być bardziej surowa. Wyrok o spaleniu zabytkowych ikon, moim zdaniem, dyskwalifikuje sędziego. W tym przypadku sędzia złamał zbyt wiele przepisów, by mógł nadal piastować ten urząd.

NOT. DW

ANNA GODZISZ - biuro prasowe Ministerstwa Kultury

To sędzia Maciej W. nakazał spalenie zabytkowych ikon, ale celnicy także nie są bez winy. Nie sporządzili odpowiednich opisów zarekwirowanych na granicy przedmiotów. Po ujawnieniu tego przypadku postanowiliśmy organizować cykliczne spotkania dla pracowników służb celnych, które pomogą im lepiej rozpoznawać i szacować wartość dzieł sztuki, które przewożone są przez granicę.

NOT. PG

2003/12/17, Gazeta Wyborcza nr 293, DW s. 4

Przeniesienie za ikony

Sędzia Maciej W. z Jarosławia, który nakazał spalić 23 zabytkowe ikony odebrane przemytnikom, może nadal pracować, ale ma być przeniesiony do innego sądu - postanowił Sąd Dyscyplinarny w Rzeszowie. Uznał, że sędzia rażąco naruszył prawo i obraził godność sędziego, nakazując spalenie ikon. Rzecznik dyscyplinarny domagał się zakazu wykonywania zawodu, ale sąd uznał, że byłaby to kara niewspółmierna do przewinienia.

2003/12/18, Gazeta w Rzeszowie nr 294, s. 3

ROX, SCEPTYK, JAWNUTA, KUSAJ, SCEPTYK, EWA, KIKI, ASESOR, WERN

Forum_Rzeszow -- Czy musi być sędzią?

Jarosławski sędzia Maciej W., który nakazał spalić zabytkowe ikony, ma być za karę przeniesiony do pracy w innym sądzie. Tak zdecydował sąd dyscyplinarny przy Sądzie Apelacyjnym w Rzeszowie, który stwierdził, że pozbawienie Macieja W. prawa wykonywania zawodu byłoby zbyt surową karą. Domagał się tego rzecznik dyscyplinarny sądu, który zarzucił sędziemu nie tylko złamanie prawa przy wydawaniu wyroku o spaleniu ikon, ale też sfalszowanie protokołu z ich zniszczenia. Wyrok nie jest prawomocny, a rzecznik zapowiedział odwołanie się od niego do wyższej instancji

No brawo, brawo - kolejny „nietykalny”, niezastąpiony i ustosunkowany zapewne. W końcu aż taka krzywda zasadom prawa się nie stała, chyba że niebawem dostanie sprawę, w której pójdzie o coś poważniejszego. **ROX**

To jest skandal, przecież to, co zrobił ten asesor z Jarosławia, jest opisane w kk jako przestępstwo. Czy ktoś taki musi być sędzią? Według mnie nie może. Ale okazuje się, że kruk krukowi oka nie wykole. Najśmieszniej będzie, gdy pracownicy sądu za podpisanie fikcyjnego protokołu zostaną skazani, natomiast główny sprawca uniknie odpowiedzialności. Czy fałszerz dokumentu może być sędzią i sądzić innego fałszerza dokumentu? Poza tym w okolicach Jarosławia mówi się, że te ikony wcale nie spłonęły, ocalały przynajmniej do czasu ujawnienia tej sprawy. Sędziowie sądu apelacyjnego sami wystawili sobie świadectwo. **SCEPTYK**

Mnie taki wyrok nie zdziwił. To w naszym kraju jest po prostu normalne. Sędzia osądza sędziego, prokurator prowadzi sprawę prokuratora, lekarz wydaje werdykt w kwestii błędu lekarskiego, polityk wspomaga kolegę w korupcji. Przy takim układzie sił i uczciwości ludzi będących na świeczniku trudno o sprawiedliwe werdykty. Przecież kruk krukowi oka nie wykole. Sędzia fałszujący dokumenty nadal będzie osądzał innych w myśl prawa, to paranoja. **JAWNUTA**

Asesor Maciej W. został osądzony za spalenie zabytkowych ikon. Sędziowie apelacyjni uznali, że postąpił nagannie i wymierzili mu surową, ale sprawiedliwą karę dyscyplinarną: sędz, Macieju, innych, byle nie w Jarosławiu. I dobrze. Rozmyślając nad uczynkiem Macieja W. dochodzę do takich oto

konstatacji: **jeśli Maciej W. rzeczywiście spalił ikony, dał świadectwo swojej wyjątkowej ociężałości umysłowej**, sędzią więc na pewno być nie powinien. Jeśli natomiast Maciej W. tylko twierdził, że ikony spalił, to tym bardziej nie powinien być sędzią. Dla takich gagatków jest, owszem, miejsce na sali sądowej - na ławie oskarżonych! Ale może nie mam racji. **KUSAJ**

Ja nie mógłbym pracować dalej na jego miejscu i sam złożyłbym rezygnację. A tak sędzia zmieni tylko miejsce pracy i w najgorszym wypadku trafi na osobę, która zaśmieje mu się w twarz. A to można przeżyć. **SCEPTYK**

Jestem załamana tym wyrokiem. Szanowny Maciej W. nie jest przecież sędzią, ale ciągle asesorem, kara powinna być jedna, powinno się go wykluczyć z zawodu, aby nigdy więcej nie przynosił wstydu ludziom uczciwie pracującym w sądach. Mam tylko cichą nadzieję, że rzecznik dyscyplinarny zaskarży rozstrzygnięcie sądu apelacyjnego, i sędziowie Sądu Najwyższego staną na wysokości zadania, by raz na zawsze pozbyć się Macieja W. **EWA**

Jak dla mnie to jest tylko gra na zwłokę. Przecież został ukarany... Gdyby dostał naganę, to media by ich zjadły. A tak jest prawie najwyższy wymiar kary. Odwołanie do Sądu Najwyższego... Parę miesięcy i pies z kulawą nogą nie będzie pamiętał, co zrobił asesor. A może się założycie? Nie będzie nawet wzmianki o jego osobie. **KIKI**

Tak można ukarać prostego człowieka, który nie wie, co czyni. Ale sędziego? Człowieka, który kk ma w jednym paluszku i wie dokładnie, gdzie i kiedy popełnia przestępstwo?! Co w takim razie można powiedzieć o tych, co go osądzali? **ASESOR**

Moim zdaniem popełnił zbyt wiele błędów, powinien odejść. **WERN**

2003/12/27-2003/12/28, Gazeta w Rzeszowie nr 300, s. 3

Rozmowa z Markiem Celejem Rozmawiała Dorota Wilk - Nominacja wstrzymana

Sąd Dyscyplinarny przy Sądzie Apelacyjnym w Rzeszowie orzekł, że jarosławski **sędzia** Maciej W. za spalenie zabytkowych ikon powinien zostać przeniesiony do pracy w innym mieście. Rzecznik dyscyplinarny domagał się pozbawienie **sędziego** praw do wykonywania zawodu. Ale sąd nie podzielił jego zdania i uznał, że przeniesienie to wystarczająco dotkliwa kara

Dorota Wilk: Jakie jest Pana zdanie na temat orzeczenia rzeszowskiego sądu dyscyplinarnego w sprawie Macieja W.?

Marek Celej z Krajowej Rady Sądownictwa: To bardzo dotkliwa kara, bo wiąże się ze zmianą miejsca zamieszkania, dlatego moim zdaniem jest dość surowa. Znam przypadek **sędziego** z Rzeszowa, który został przeniesiony do pracy w Szczecinie i nie sądzę, by było to dla niego bezbolesne.

Czy uważa Pan, że sędzia, który poświadczyl nieprawdę w protokole ze zniszczenia ikon i spalił je bezprawnie, powinien dalej wykonywać ten zawód?

- Całą sprawę znam tylko z doniesień prasowych. Nie chcę się wypowiadać jednoznacznie na ten temat. Ale trzeba się zastanowić, czy taka sprawa jak ta z ikonami ma przekreślić karierę **sędziego**. W końcu **sędzia** nie wiedział, że to ikony. Urząd celny napisał, że to obrazy malowane na drewnie. Trzeba też wziąć to pod uwagę i zastanowić się, kto jeszcze jest winny tej sytuacji.

Asesor Maciej W. był już na dobrej drodze, by dostać nominację na sędziego?

- Tak, wniosek o jego nominację leży w Krajowej Radzie Sądownictwa, ale została ona wstrzymana do czasu zakończenia postępowania dyscyplinarnego.

Czy to oznacza, że po zakończeniu postępowania dostanie nominację?

- Nie wiem, o tym zadecyduje rada.

Da ją sędziemu, który poświadczyl nieprawdę?

- Nie mogę wypowiadać się za całą radę i nie będę tego robił przed zakończeniem postępowania dyscyplinarnego i prokuratorskiego. Niewątpliwie wyniki tych postępowań będą brane pod uwagę przez radę, ale jest jeszcze za wcześnie, by mówić o jej stanowisku.

2003/12/29, Gazeta w Rzeszowie nr 301, str. 2

MUMIN, OBSERWATOR, ABC, AS - Forum_Rzeszow - To żadna kara

W sobotę opublikowaliśmy wywiad z Markiem Celejem z Krajowej Rady Sądownictwa o karze dla jarosławskiego sędziego. Przypomnijmy, Maciej W., który spalił prze-chwycone przez celników zabytkowe ikony, został ukarany przez sąd dyscyplinarny przeniesieniem do innego miasta. Wywiad z Celejem wywołał falę komentarzy na forum portalu Gazeta.pl

Ostatnio przenosili na drugi koniec Polski kilkuset celników i wtedy się mówiło, że taka sytuacja to normalka, że tak dzieje się na całym świecie itd., oni bynajmniej nie palili żadnych ikon!!! W przypadku sędziego takie przenosiny to już jednak kara i to surowa. Niesamowite. **MUMIN**

Jeżeli sędzia, który fałszuje protokoły, jest nadal sędzią i bronią go jeszcze, nie odcinając się od niego, pozostali sędziowie, to już nasze sądownictwo osiągnęło dno. Kara przeniesienia za fałszerstwo i mataczenie sędziego! Ja już nic nie rozumiem. **OBSERWATOR**

Sędziowie są skandalicznie tolerancyjni dla swoich kolegów po fachu. Czyli... kruk krukowi oka nie wykole! Kto jak kto, ale sędzia musi być jak żona Cezara - poza wszelkim podejrzeniem. Sędzia naruszający prawo to kpina ze społecznego poczucia sprawiedliwości i kompletne zszarganie autorytetu sądu. **ABC**

Państwo nam się wali, bo takie są jego fundamenty, czyli władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Ale też państwo nam się wali, boć takie władze obywatele sobie wybierają. Opinie sędziego Celeja (sądzi Lwa Rywina) z Krajowej Rady Sądowniczej potwierdzają, że wszystko można zrelatywizować: celnicy są winni, bo napisali, że to obrazy malowane na desce, zamiast, że ikony, że fałszerstwo dokumentacji jest błędem kandydata na sędziego, a nie jego przestępstwem, że przeniesienie kandydata na sędziego do innego miasta, tudzież sądu, jest wystarczającą karą i że tego typu działania kandydata na sędziego nie są dostateczną przesłanką, by KRS odmówiła mu przyjęcia w poczet wymiaru sprawiedliwości. Słowem, Celej udowadnia, iż nie ma takiego idiotyzmu, graniczącego z kretynizmem, którego nie można by wypowiedzieć dla obrony zawodowego korporacjonizmu. Przeto wiara, że polskiemu wymiarowi sprawiedliwości należy dać czas, by mógł oczyścić się sam, jest co najmniej naiwna. Oto kolejna władza, która wyalienowała się z realiów do tego stopnia, że wymaga gruntownej i radykalnej reformy.

2003/12/24-2003/12/26, Małgorzata Porada Gazeta Wyborcza Wrocław nr 299, s. 3

Daremne zaklinanie faktów Lekarka skazana prawomocnie

Sąd Apelacyjny nie miał wczoraj wątpliwości: lekarka Agata M. przed siedmioma laty zamordowała żonę swego kochanka. Wina jej jest oczywista, jeśli zgromadzone dowody ocenia się łącznie, a nie - jak czynili to obrońcy - wyrwane z ciągu zdarzeń

Wyrok 25 lat wydany w maju przez Sąd Okręgowy został utrzymany. To już drugie prawomocne orzeczenie wrocławskiego sądu w tej sprawie. - Jestem pod wrażeniem szczegółowości uzasadnienia orzeczenia ogłoszonego przez sędziego - mówił wczoraj mecenas Wojciech Krzysztoporski, jeden z trzech obrońców lekarki - ale będę wnosił o kasację. Niezmiennie jestem przekonany o niewinności Agaty M.

Sędzia Andrzej Krawiec odniósł się wczoraj do wszystkich zarzutów podniesionych w apelacji. - Zarzucanie nieuczciwości biegłemu, podważanie wyników jego pracy to bardzo zły styl obrony - wytknął mecenasowi Baszukowi. - Przeprowadzona przed tym sądem identyfikacja ofiary była tylko materiałem pomocniczym. Poprosiliśmy o to na wyraźny wniosek obrony. Ale nie można zapominać o wcześniejszych dowodach: miejsce ukrycia ciała wskazał współsprawca zbrodni, zamordowana miała na sobie za dużą kurtkę męża, w której wyszła z domu, a w kieszeni klucze od mieszkania - przypominał sędzia Krawiec. - Obrona twierdzi, że współsprawca zbrodni Dariusz B. jest niewiarygodny? Ale przecież do pewnego momentu opisuje przebieg wypadków dokładnie tak samo jak Agata M. To lekarka wywołała ofiarę z domu, spacerowała z nią przed blokiem, wywiozła w odludne miejsce, polecając Dariuszowi B., by jechał za nimi. Dalej już nie ma zgody. Dariusz B. twierdzi, że lekarka udusiła rywalkę parcianym paskiem i odjechała, zostawiając go ze zwłokami. Oskarżona utrzymuje, że kobieta dała się wyciągnąć obcemu mężczyźnie z auta i została z nim na parking. Jeśli tak było, to czemu, gdy szukano jej, nie zgłosiła się na policję? - pytał.

- Generalną metodą obrony oskarżonej Agaty M. było zarzucanie kłamstwa wszystkim, którzy zeznawali dla niej niekorzystnie. Przekonywała sąd o istnieniu zmyślenia jej byłych przyjaciół, prowadzących śledztwo i służb więziennych. Zaprzeczała nawet oczywistym faktom. Gdy przejęto jej gryps, w którym instruowała znajomą, jak ma zeznawać, twierdziła, że do jego napisania „podpuścili” ją funkcjonariusze - podsumował linię obrony w tym ciągnącym się od ponad sześciu lat postępowaniu.

2004-01-07, dw, GW Rzeszów, ostatnia aktualizacja 06-01-2004 18:07

Minister chce głowy asesora

Minister sprawiedliwości uważa, że Maciej W., jarosławski sędzia asesor, który nakazał spalenie XIX-wiecznych zabytkowych ikon odebranych przemytnikom, powinien zostać usunięty z zawodu. Minister Grzegorz Kurczuk odwołał się od decyzji sądu dyscyplinarnego w Rzeszowie, który uznał, że wystarczającą karą dla asesora będzie przeniesienie do pracy w innym mieście. - Minister uznał, że ta kara jest zbyt łagodna - wyjaśnia Bogumiła Burda, rzecznik Sądu Apelacyjnego w Rzeszowie. Sprawę Macieja W. będzie teraz rozpatrywał Sąd Najwyższy.

Czat:

Gość: bang! 06.01.2004 18: Cóż, za głupotę powinno się płacić!

krzysiek 06.01.2004 18:16 Kto w ogóle dal takiemu idiocie sądzić innych? skoro ktoś to przemyczał to było to dużo warte a nie warte spalenia!

anke 06.01.2004 18:23 Ciekawe, czy te ikony naprawdę spalono, czy też wiszą w czymś domu

arti47 06.01.2004 18:28 Nie ma takich głupich asesorów nawet w tym biednym kraju. Niech ktoś sprawdzi co ten asesor spalił. Nawet dziecko z podstawówki wie jak cenne są ikony i to nie tylko dla prawosławnych, ale i dla pазernych. Ten asesor zapewne zabezpieczył swoją starość, teraz po co mu już być asesorem. Ale niech nie będzie pazerny niech da jedną ikonkę ministrowi i będzie miał problem z głowy. Polska to bardzo dziwny kraj, jak nie zepsują to zgubią. Hahaha. Oj panowie z „Czwartej Władzy” przyjrzyjcie się tej sprawie bliżej, oj przyjrzyjcie!

boncki 06.01.2004 18:32 Znam takiego sędziego co twierdzi że po pijaku wolno jechać samochodem i wydaje wyrok 3 lata za to że się nie pojechało po pijaku. Chcesz wiedzieć więcej zadzwoń 609764303

remus 06.01.2004 23:33 Trudno nie nazwać takiego faceta - po wyższych studiach - kretynem: to jedyny komentarz jaki się nasuwa. Ja osobiście [podejrzewam, że stało się co innego: ikony poszły w lud za dobrą kasę a spalono normalne deski](#). Ale w każdej okoliczności faceta powinno się wyp.....ć. Też nie można tego inaczej określić.

7. SĘDZIA DORABIAŁ U GANGSTERA

2004-01-03, SuperExpress nr 2.

Nie jemu nas sądzić! Sędzia dorabiał u gangstera

Warszawski sędzia Oskar Rudziński pomagał niemieckiemu przestępcy Rigobertowi Taubertowi zakładać na początku lat 90. nielegalne kasyna w Polsce. Taubert przesiedział później wiele lat w niemieckich więzieniach, w końcu zmarł w tajemniczych okolicznościach. Rudziński do dziś jest wpływowym, szanowanym sędzią.

Pracował w kasynie należącym do niemieckiej mafii, załatwiał koncesje i doświadczenia do polityków, miał wręczyć łapówkę byłemu wiceministrowi finansów - to szokujące ustalenia „Super Expressu” dotyczące przeszłości sędziego Oskara Rudzińskiego.

Sędzia, z 36-letnim stażem pracy, jest przewodniczącym V Wydziału Cywilnego Odwoławczego Sądu Okręgowego w Warszawie. Jego dawny chlebodawca Rigobert Taubert, nazywany przez niemiecką prasę „mózgiem mafii hazardowej”, 6 stycznia 2001 r. zmarł w szpitalu we Freiburgu (Niemcy). Lekarze podejrzewali, że został otruty - w jego krwi wykryli heroinę i rohypnol (lek usypiający).

Świadek przemówił

Prawda o powiązaniach niemieckiego gangstera z polskim sędzią nie ujrzałyby światła dziennego, gdyby nie śmierć Tomasza Chwiałkowskiego - zatrudnionego w warszawskim kasynie. Pijany Taubert w październiku 1990 r. śmiertelnie go pobił. Anna Chwiałkowska, wdowa po Tomaszu, terroryzowana przez bandytów - milczała przez 13 lat. Teraz odważyła się mówić. Mówi rzeczy przerażające, np. [o 90 tys. dolarów łapówki za koncesje dla kasyn, którą b. wiceministrowi finansów Jerzemu Napiórkowskiemu](#) miał wręczyć sędzia Oskar Rudziński, pracujący w warszawskim King's Casino jako doradca (czytaj wywiad obok). Sprawdzaliśmy jej wersję wydarzeń. Oto nasze ustalenia.

Dresiarze w kasynie

Rigobert Taubert, z zawodu kucharz, właściciel 16 nielegalnych kasyn gry w Niemczech, pojawił się w Polsce w 1989 r. Przenosił interesy na wschód, bo niemiecka policja deptała mu po piętach. Jeździł kabrioletem, srebrnografitowym mercedesem 500 SEL. Obracał ogromnymi pieniędzmi. W lutym 1990 r. otworzył w warszawskim hotelu Forum King's Casino - choć było nielegalne, to ani urząd skarbowy, ani Ministerstwo Finansów nie interweniowały.

- Kasyno działało u nas przez 7 miesięcy, potem przeniosło się do Pałacu Kultury i zmieniło nazwę na Queen's Casino - opowiada b. dyrektor Forum Wiesław Wilk. - Choć hotel miał z tego niezły grosz, chciałem, żeby się wynieśli. Przychodzili tu ludzie w dresach i adidasach, awanturowali się. Bałem się, że hotel straci renomę.

Czyściutki jak łąza?

King's Casino było nielegalne, gdyż w spółce, która je prowadziła, nie było ani grosza polskiego kapitału. Właścicielem 95 proc. udziałów było tajemnicze konsorcjum Eastern Management, zarejestrowane na wyspie Guernsey (kanał La Manche). Prawdziwym właścicielem interesu był Taubert. Byli pracownicy kasyna opowiadają, że decydował o wszystkim - prezes spółki Harry Gaber był tylko figurantem. **Doradcą Tauberta do spraw prawno-podatkowych był sędzia Oskar Rudziński, który już wówczas był w sądzie przewodniczącym wydziału.** Razem chodzili na wyścigi konne na warszawskim Służewcu i biesiadowali w restauracjach.

- **Nie chciałem wracać do tamtej sprawy - mówi „Super Expressowi” sędzia Rudziński.** Nie zgadza się, aby nagrywać rozmowę. - Pracowałem w tej spółce jako tłumacz, nie miałem na nic wpływu. Prezes Gaber mówił, że „Rigo” to jeden z największych w świecie potentatów od kasyn. Miałem zgodę prezesa sądu na doradztwo dla zagranicznych podmiotów i tłumaczenia. Zarobiłem chyba 6 milionów starych złotych (600 zł - przyp. L.K.), zapłaciłem podatek. Jestem czyściutki jak łąza.

Tu sędzia się myli. Przepisy zakazują sędziom podejmowania dodatkowego zatrudnienia, chyba że jest to praca w charakterze wykładowcy lub praca naukowa. Sędzia Rudziński twierdzi, że pracował jako tłumacz. To wątpliwe, **bo kasyno miało tłumacza (przynajmniej do czasu, gdy Taubert go zabił) - byłego pracownika MSZ Tomasza Chwiałkowskiego, który skończył studia w Niemczech i znał siedem języków.**

Anna Chwiałkowska twierdzi, że **sędzia Rudziński mógł zarabiać w kasynie nawet 15 tys. dolarów miesięcznie.**

- **Mój mąż zarabiał 2,5 tys. dolarów, a był zwykłym tłumaczem** - mówi Anna Chwiałkowska. - Oskar był dla nich cenny, miał dojścia. Załatwił koncesję u wiceministra finansów Napiórkowskiego. W mojej obecności odliczał dla niego 90 tysięcy dolarów. Nie wiem, ile dał Napiórkowskiemu. Część mógł zatrzymać dla siebie.

Przesłuchiwany w prokuraturze w związku ze śmiercią Chwiałkowskiego sędzia Rudziński przyznał, że w kasynie zarobił... 1100 złotych netto przez pół roku.

Zapomniał?

Jerzy Napiórkowski, b. wiceminister finansów, który w 1990 r. dał koncesje kasynom Tauberta, zapewnia, że nie zna sędziego Rudzińskiego i nigdy go nie widział na oczy.

- Może pan nie pamięta - dopytujemy się.

- Pamiętam doskonale. W sprawie koncesji dla kasyn przychodzili do mnie wyłącznie mecenas **Maciej Bednarkiewicz** i wiceminister sprawiedliwości **Wojciech Tomczyk**. Nikt inny. Początkowo byłem przeciwny koncesji dla Queen's Casino. Dyskusje były natury prawnej, bo sam jestem z wykształcenia prawnikiem. W końcu mnie przekonali, bo w kasynach był już wtedy polski udziałowiec - **Fundacja Pomocy Ofiarom Przestępstw.**

Co pan ukrywa?

Napiórkowski kłamie. „**Chodziłem z Tomczykiem do Napiórkowskiego**” - zeznał w prokuraturze sędzieja Rudziński. - „Tłumaczyliśmy mu, aby zezwolił na działalność kasyn gry”.

Dlaczego były wiceminister, który w podejrzanych okolicznościach dał koncesję kasynom niemieckiego gangstera, wypiera się znajomości z sędzią Rudzińskim? Co ukrywa?.

Godność sędziego

„Sędzia powinien w służbie i poza służbą strzec powagi stanowiska sędziego i unikać wszystkiego, co mogłoby przynieść ujmę godności sędziego lub osłabia zaufanie do jego bezstronności.

Sędzia nie może podejmować dodatkowego zatrudnienia, z wyjątkiem zatrudnienia na stanowisku dydaktycznym, naukowo-dydaktycznym lub naukowym (...), jeżeli wykonywanie tego zatrudnienia nie przeszkadza w pełnieniu obowiązków sędziego”.

Źródło: ustawa o ustroju sądów powszechnych

POWINIEN ODEJŚĆ!

Sędzia Oskar Rudziński twierdzi, że jest „czyściutki jak łąza”. To niesłychane słowa w ustach człowieka, który współpracował z gangsterami. Sędzia jest zawodem najwyższego zaufania publicznego. Musi więc być osobą poza wszelkimi podejrzeniami. Kto wchodzi w ciemne układy z mafią, takie zaufanie raz na zawsze traci! Dlatego zwracamy się do zwierzchnika Oskara Rudzińskiego, **prezesa warszawskiego Sądu Okręgowego Lidii Malik**: Nie chcemy takiego sędziego! Pani może zwolnić go z funkcji przewodniczącego wydziału i doprowadzić do odwołania z urzędu sędziego.

Wiarygodność sądu jest teraz w Pani rękach!

Kto jest kim w aferze kasynowej – Rigobert Taubert

(1951-2001), mózg niemieckiej mafii kasynowej, poszukiwany listem gończym ukrywał się w Polsce i Paragwaju; w 1993 r. Niemiecki sąd skazał go na 4 lata i 8 miesięcy więzienia; zmarł w tajemniczych okolicznościach.

Oskar Rudziński

I. 55, sędzia, przewodniczący Wydziału V Odwoławczego Sądu Okręgowego w Warszawie, pracował w spółce kasyniarzkiej Tauberta jako konsultant ds. prawnych i podatkowych.

Jerzy Napiórkowski

I. 60, wiceminister finansów (1986-1990), obecnie prezes Rolimpex Nasiona. We wrześniu 1990 r. po wydaniu koncesji dla kasyn Tauberta złożył dymisję i wyjechał do USA. Aresztowany we Frankfurcie, oskarżony w „aferze karabinowej”. Sąd w Nowym Jorku uniewinnił go od zarzutu nielegalnego handlu bronią z Irakiem.

Wojciech Tomczyk

I. 63 - wiceminister sprawiedliwości w rządach Mieczysława F. Rakowskiego, Czesława Kiszczaka i Tadeusza Mazowieckiego (1989-1991); członek Trybunału Stanu z rekomendacji SLD; adwokat Lwa Rywina, Józefa Oleksego i Zbigniewa Sobotki (posła SLD zamieszanego w aferę starachowicką). Starał się o koncesje dla kasyn.

Maciej Bednarkiewicz

I. 63 - adwokat, były prezes Naczelnej Rady Adwokackiej, przewodniczący Rady Nadzorczej Banku Millennium. Występował o koncesje dla kasyn.

Tomasz Chwiałkowski

(1949-1991) - były pracownik MSW i MSZ, tłumacz Tauberta. Zmarł wskutek wylewu, po pobiciu przez Tauberta.

Anna Chwiałkowska

I. 56, wdowa po Tomaszu, po latach ujawniła szczegóły afery kasynowej.

2004-01-07, PAP. k ostatnia aktualizacja 06-01-2004 17:29

Sędzia i gangster

Czy warszawski sędzia pomagał mafii zakładać kasyna w Polsce? Wyjaśnić to ma prokuratura i sędziowski rzecznik dyscyplinarny

Warszawska prokuratura apelacyjna ponownie zbada akta śledztw w sprawie osób opisanych w weekendowym wydaniu „Superexpressu” w artykule na temat sędziego Oskara Rudzińskiego, który miał pomagać nieżyjącemu już niemieckiemu gangsterowi zakładać w Polsce kasyna. Poinformował o tym we wtorek po południu rzecznik Prokuratury Apelacyjnej, Zbigniew Jaskólski. „O wynikach badania prokuratura powiadomi środki masowego przekazu odrębnym komunikatem” - napisał rzecznik.

„Super Express” napisał, że sędzia Oskar Rudziński na początku lat 90. pomagał niemieckiemu gangsterowi Rigobertowi Taubertowi zakładać w Polsce kasyna. Według jednego ze świadków, Rudziński miał w 1990 r. wręczyć 90 tys. dolarów łapówki Napiórkowskiemu, który decydował o koncesjach dla kasyn. Sędzia i gangster mieli razem chodzić na wyścigi konne, biesiadować w restauracjach. Sędzia pracował w spółce „King's Casino”, założonej przez mafię. Był wówczas, podobnie jak dziś, przewodniczącym jednego z wydziałów w warszawskim Sądzie Okręgowym.

Badane mają być trzy śledztwa: przeciwko Rigobertowi Trauberowi, podejrzanemu o pobicie Grzegorza Chwiałkowskiego (w tym śledztwie jako świadek zeznawał sędzia Rudziński; samo śledztwo umorzono w czerwcu 2001 r. w związku ze śmiercią Niemca); śledztwo z 1993 r. przeciwko opisanemu w artykule wiceministrowi finansów Jerzemu Napiórkowskiemu, które umorzono po roku w związku z niedopatrzeniem się przestępstwa (w tym śledztwie zeznawał jako świadek adwokat **Wojciech Tomczyk**, także opisany w „SE”); oraz śledztwo z 1991 r. dotyczące przekroczenia uprawnień przez ministra finansów i szefa Agencji ds. Inwestycji Zagranicznych, w związku z udzielaniem zezwoleń na prowadzenie kasyn dla spółek z kapitałem zagranicznym. W tym śledztwie oskarżono ówczesnego prezesa agencji, Zdzisława Skakuja.

W związku z publikacją, Rudzińskim zainteresował się sędziowski **rzecznik dyscyplinarny, który wszczął w tej sprawie postępowanie wyjaśniające**. Sprawdzane będzie, czy sędzia Rudziński miał pozwolenie na pracę poza sądem i czy nie wykonywał czynności wykraczających poza to pozwolenie. Gdyby potwierdziły się zarzuty dotyczące poważnych przestępstw kryminalnych, rzecznik dyscyplinarny może wnieść o uchylenie Rudzińskiemu sędziowskiego immunitetu, by prokuratura mogła wszcząć przeciwko niemu śledztwo.

Czat:

gość Data: 06-01-2004 17:37 Agora komentowała słabe wyniki tym że musi przygotować się na wejście Faktu. Bardzo intrygujące. Już widzę, że polega na kosztownym zejściu do poziomu brukowca. Błąd w tytule. Ktoś coś pisze ale o co mu chodzi nie wiadomo, co gdzie i jak, aby sensacja.

8. PROKURATOR PODEJRZANY

2003.12.31, Patryk Tryzubiak, Grażyna Zawadka, Superexperss

Prokurator rąbnął kasę

Prokurator z Kalisza ukraść 64 tys. zł. Pieniądze były dowodem rzeczowym. Zamiast wpłacić do banku schował je do własnej kieszeni.

- To szok. To nie miało prawa się zdarzyć - mówi nam Bogdan Stelmach, szef Prokuratury Okręgowej w Kaliszu.

Oficjalnie o sprawie wiadomo niewiele. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że przed świętami prokurator zażądał wydania dowodów rzeczowych w sprawie, którą prowadził. Policjant przyniósł mu kasetkę z 64 tys. zł.

36-letni Paweł G. w prokuraturze pracuje 12 lat, ostatnio w wydziale śledczym. - Młody, zdolny, awansował - mówią o nim współpracownicy.

Łapczywego prokuratora czeka postępowanie dyscyplinarne i sprawa karna.

- Śledztwo dotyczyć będzie przekroczenia przez funkcjonariusza uprawnień dla osiągnięcia korzyści majątkowej - dodaje Witold Błaszczyk, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Piotrkowie Trybunalskim, która będzie prowadzić sprawę. Oprócz wyrzucenia z pracy grozi mu paka - do 5 lat.

2004-01-07, PAP, GW, ostatnia aktualizacja 07-01-2004 12:29

Prokurator podejrzany o łapownictwo i utrudnianie śledztwa

Zarzut przyjęcia łapówki i ujawnienia informacji ze śledztwa postawiła wrocławska prokuratura apelacyjna Wiktorowi C., prokuratorowi z Łodzi - poinformował PAP w środę rzecznik Prokuratury Apelacyjnej we Wrocławiu Jerzy Skorupka.

Łódzki prokurator miał przyjąć 10 tys. zł łapówki od adwokata Grzegorza Ł. w zamian za ujawnienie informacji o planowanych zatrzymaniach łódzkich biznesmenów - właścicieli znanej w kraju firmy produkującej klej, podejrzanym m.in. o wielomilionowe wyłudzenia zwrotu VAT i podatku od osób fizycznych.

Ponadto - według prokuratury - przekazał adwokatowi doniesienie o przestępstwie, które złożył Urząd Kontroli Skarbowej. Działając w ten sposób, prokurator miał utrudniać postępowanie przygotowawcze Prokuratury Okręgowej w Łodzi.

Wrocławska prokuratura nie udziela szczegółowych informacji na temat postępowania prowadzonego przeciwko Wiktorowi C. Mężczyzna nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. Zastosowano wobec niego środek zapobiegawczy w postaci poręczenia majątkowego w wysokości 5 tys. zł i zakaz opuszczania kraju. Adwokatowi Grzegorzowi Ł. prokuratura postawiła zarzut wręczenia łapówki.

Obaj zostali zatrzymani w ostatnich dniach 2003 roku przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Już jesienią 2002 roku łódzka prokuratura zarzuciła Grzegorzowi Ł. utrudnianie śledztwa, powoływanie się na wpływy w Prokuraturze Okręgowej i ujawnienie dokumentu, którym nie miał prawa dysponować. Efektem przesłuchania adwokata było wtedy zawieszenie w czynnościach służbowych prokuratora Wiktora C. Sprawą łódzkich prawników na polecenie Prokuratora Krajowego zajęła się Prokuratura Apelacyjna we Wrocławiu.

Czat:

Krzych 07.01.2004 12:56 -- I taki człowiek nie siedzi w areszcie. Czyste jaja.

KT 07.01.2004 13:03 Dla porównania: w polowaniu na biznesmena Kluskę wyznaczono kaucję 8 mln zł. A Kluska był niewinny. Teraz porównajmy te kwoty i zapytajmy, skąd taka różnica. Pytajmy też, dlaczego Jędrusiński miał niską kaucję, mimo że przekręcił setki milionów. Kluska został oczyszczony z wszelkich zarzutów. Od początku było wiadomo, że komuchy polują na niego. A prokurator z artykułu ma siedzieć w areszcie. Do więzienia powinni iść ci, którzy polowali na Kluskę. Zaangażowanych było wiele osób, w tym służby specjalne. Chcemy wiedzieć wszystko o sprawie Kluski. Chcemy powołania komisji śledczej w tej sprawie.

józek 07.01.2004 17:00 Mnie prokuratorzyna z Łomży oskarżył o zmyślone (przez bandziorów) przestępstwa, śmieszne w porównaniu z tym co zrobił Wiktor C. Zabrał mi paszport, zażądał 50 tys. poręczenia majątkowego, poinformował lokalną prasę. Gnoił mnie przez ponad 2 lata - sądy dwóch instancji wydały wyroki uniewinniające. A taki Wiktor C.- 5 tys. Skąd on weźmie tyle kasy ? Może zorganizować zbiórkę na biedaka ? Na poważnie, czy może ktoś wymienić bardziej zeszmaczoną grupę zawodową (oczywiście oprócz polityków)?

9. JAK SPRZEDAĆ SZAFĘ

Szafa nie gra.

Sędzia wrocławskiego Sądu Apelacyjnego może stracić immunitet i stanąć przed sądem. Dziesięć lat temu, jako prezes Sądu Okręgowego w Świdnicy, za bezcen i wbrew przepisom sprzedał zabytkową szafę.

Na początku lat 90. Grzegorz G. jeździł po wioskach i wynajdywał stare meble. Kupował je tanio, by z zyskiem sprzedawać punktom renowacji mebli. W tym czasie w sali nr 2 Sądu Rejonowego w Ząbkowicach Śląskich stała szafa, w której sędziowie trzymali togi: XVII-wieczna, czereśniowa, bogato zdobiona. Nie była zapisana w rejestrze zabytków.

- O istnieniu tej szafy powiedział mi znajomy - opowiada Grzegorz G. - Za zgodą pani prezes ją sfotografowałem. Zdjęcie pokazałem Reinerowi S., konserwatorowi antyków z Górnego Śląska. Zapalił się, dawał mi za nią dziesięć tysięcy dolarów.

Jak twierdzi pan Grzegorz, zaproponował kupno pani prezes ząbkowickiego sądu. Nie było to jednak możliwe, ponieważ faktycznym właścicielem szafy był Sąd Okręgowy, któremu ząbkowicki podlegał. Grzegorz G. i Reiner S. zwrócili się więc z tą propozycją do ówczesnego prezesa Sądu Okręgowego Tadeusza N. Transakcja została zawarta.

- W sierpniu 1993 roku przyjechaliśmy po nią mercedesem kombi, zaopatrzeni w zgodę prezesa SO. Ale kierowniczka administracyjna nie chciała nam tej szafy wydać - mówi Grzegorz G. - Oburzyliśmy się, że nie honoruje pisma przełożonego. Poskutkowało. Rozkręciłem szafę, to prosta konstrukcja. Zawieźliśmy ją na Górny Śląsk.

Zdaniem Barbary Obelindy, kierownika wałbrzyskiej delegatury Służby Ochrony Zabytków, prezes sądu powinien był o zamiarze sprzedaży powiadomić konserwatora zabytków. Szafa winna być wpisana do rejestru zabytków i wyceniona przez niezależnego rzeczoznawcę. Dopiero wtedy mogła być sprzedana.

Pominięcie tej procedury spowodowało, że zabytkowa szafa - jak wiadomo nieoficjalnie - trafiła do Niemiec. Ówczesna prezes ząbkowickiego sądu Maria Dulanowska: - Byłam na urlopie. Sąd Okręgowy wypisał ją z naszego stanu i wpisał na swój. Więcej nie powiem, bo w sprawie ówczesnego prezesa świdnickiego sądu jest prowadzone postępowanie dyscyplinarne i nie mogę się wypowiadać.

Po sprzedaży ktoś zawiadomił wałbrzyską delegaturę ochrony zabytków. Delegatura ustaliła, że szafa jest w jednej z górnośląskich pracowni konserwatorskich. Nadzór nad renowacją sprawował katowicki oddział Służby Ochrony Zabytków. To wałbrzyską delegaturę uspokoiło. Tyle że szafa już nigdy na Dolny Śląsk nie wróciła. Sprawa wyszła na jaw, gdy w 2001 roku Grzegorz G. zawiadomił o wszystkim Centralne Biuro Śledcze. Teraz trwa śledztwo w tej sprawie. W ciągu najbliższych tygodni okaże się, czy prezes straci immunitet, czy nie i czy będzie mógł odpowiadać przed sądem.

Dla Gazety -- Ewa Kica -- inspektor Wojewódzkiego Oddziału Służby Ochrony Zabytków

Nie wiemy, ile zabytkowych przedmiotów znajduje się w różnych instytucjach na Dolnym Śląsku. Wiemy o tych, które wpisane są do rejestru zabytków. A wpisujemy je, gdy instytucje nas o posiadaniu takiego zabytku powiadomią lub gdy sami je zauważymy. Każdemu właścicielowi wolno zabytek sprzedać, ale musi nas o tym powiadomić. Nie może go jednak sprzedać za granicę, ponieważ istnieje zakaz wywozu dóbr kultury.

(s. 3) Siedem lat cichych. Prezes sądu bezprawnie sprzedał zabytkową szafę.

Dopiero po siedmiu latach policja zainteresowała się sprawą zabytkowej szafy. Sprzedał ją prezes Sądu Okręgowego w Świdnicy

Oficjalne informacje są bardzo lakoniczne. Prokurator Krzysztof Kopania, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Łodzi: - Na tym etapie śledztwa nie mogę nic więcej powiedzieć ponad to, że od 29 grudnia 2001 roku jest prowadzone postępowanie w sprawie sprzedaży szafy za 40 milionów starych złotych. W 1993 roku wyjechała do renowacji i nie wróciła. Sprawę wszczęła Prokuratura Rejonowa w Ząbkowicach Śląskich, przekazana została do Łodzi. Na razie nikomu jeszcze nie przedstawiono zarzutów.

Sędzia Paweł Misiak, rzecznik dyscyplinarny sędziów sądów powszechnych: - Mogę jedynie potwierdzić, że przed Sądem Apelacyjnym w Katowicach toczy się postępowanie o uchylenie immunitetu sędziowskiego. Jednocześnie trwa postępowanie przed rzecznikiem dyscyplinarnym. Obie sprawy są w związku z zarzutem sprzedaży szafy.

Barokową szafę stojącą w Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich sprzedał w sierpniu 1993 roku prezes Sądu Okręgowego w Świdnicy Tadeusz N. prywatnemu nabywcy Reinerowi S. z Górnego Śląska. W transakcji pośredniczył ziębiczanin Grzegorz G. To on ujawnił sprawę. Jak zapewnia - gdy dowiedział się, że bezcenny zabytek trafił do Niemiec.

- Szafę sprzedałem Polakowi w Polsce. Nie wiem, co się z nią dalej działo - mówi Reiner S. - Kupiłem ją od sądu oficjalnie, ale nie chcę na ten temat rozmawiać. A Grzegorz G. opowiada bzdury.

Reiner S. nie chciał nam ujawnić, za ile ją od sądu kupił ani za ile sprzedał. Rozmawiać na ten temat nie chciał też sędzia Tadeusz N., który w międzyczasie awansował do wrocławskiego Sądu Apelacyjnego. - Jest prowadzone postępowanie. Nie mogę się więc w mojej sprawie wypowiadać - mówi sędzia.

Rzecznik łódzkiej Prokuratury Okręgowej powiedział nam, że sędzia może mieć postawiony zarzut przekroczenia uprawnień. - Wprawdzie właściciel pracowni konserwatorskiej Reiner S. miał uprawnienia do wyceny i jest w tej dziedzinie biegłym sądowym, ale nie może być sytuacji, że mebel wycenia człowiek, który go kupuje - mówi Barbara Obelinda, kierownik wałbrzyskiej delegatury Służby Ochrony Zabytków. Pierwszeństwo w jej kupnie powinny mieć muzea.

- Kilka miesięcy po transakcji zdjęcie tej szafy znalazłem w niemieckiej encyklopedii dzieł sztuki. Mebel został wykonany w Dreźnie w XVII wieku, były tylko dwa takie egzemplarze - opowiada Grzegorz G. - Jedna szafa zaginęła podczas bombardowania Drezna, druga trafiła na Pomorze, pewnie stamtąd przywieziono ją do Ząbkowic Śląskich. W encyklopedii szacowano ją na 400 tys. marek.

Zdaniem kierownika wałbrzyskiego SOZ Barbary Obelindy nie ma dowodów, że to ta sama szafa. A zdaniem łódzkiej prokuratury jej wartość była niższa niż 40 tysięcy marek.

Sprawa sprzedaży szafy znana była policji już w roku 1994. Wówczas to Grzegorz G. zawiadomił katowicki UOP, a ten skierował go do policji. Przyznaje, że od Reiner S. otrzymał tylko część obiecanych pieniędzy, ale zapewnia, że nie to było powodem doniesienia. - Odkryłem, jak łatwo cenne dzieła wyjeżdżają za granicę. Dlatego zgłosiłem się do UOP. Kazali mi opisać wszystko, co wiem o tej sprawie. Opisałem. Potem skierowali sprawę do Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach - opowiada. - Znów tam opisałem. Ale po paru moich wizytach prowadzący ją policjant powiedział mi, że nie może dalej tej sprawy prowadzić, bo dostanie po łapach.

Dotarliśmy do tego policjanta. - Ach, ta szafa sprzedana za sto tysięcy marek do Niemiec? Tak, pamiętam.

- Jak zakończyło się postępowanie?

- Nie wiem. Przełożeni kazali mi oddać teczkę. Co z nią zrobili, nie wiem. Czy dlatego, że w sprawę zamieszany był sędzia, też nie wiem. Niestety, moi przełożeni już nie pracują, są na emeryturze.

- Dlatego i ja odpuściłem. Do policji wróciło mi zaufanie, jak powstało Centralne Biuro Śledcze - tłumaczy swoją wieloletnią bierność Grzegorz G. - Do wałbrzyskiego CBS zwróciłem się ponownie z tą sprawą jesienią 2001 roku.

Według niepotwierdzonych informacji dopiero teraz, po dziewięciu latach, badany jest wątek przemytu.

2003/11/15-2003/11/16, Marian Maciejewski Gazeta Wyborcza Wrocław nr 266, s. 1

Bliżej winy Wyrok na sędziego

Sąd Dyscyplinarny w Łodzi uznał wrocławskiego **sędziego** Tadeusza N. za winnego popełnienia przestępstwa i ukarał go w tym tygodniu wydaleniem z sądu. Wyrok nie jest prawomocny

Postępowanie toczyło się w związku z prokuratorskim śledztwem dotyczącym **sprzedaży zabytkowej szafy** z ząbkowickiego sądu. Wcześniej Sąd Dyscyplinarny w Katowicach zadecydował o uchyleniu Tadeuszowi N. immunitetu. Prokuratura postawiła **sędziemu** zarzut przekroczenia uprawnień i przywłaszczenia 4 tys. zł pochodzących ze sprzedaży tej szafy.

- Jestem niewinny, nie przekroczyłem uprawnień - zapewniał nas kilka dni temu **sędzia** N.

O sprawie pisaliśmy w kwietniu. Przypomnijmy, w jednej z sal Sądu Rejonowego w Ząbkowicach stała prawdopodobnie XVII-wieczna szafa, należąca do Sądu Okręgowego w Świdnicy. W 1993 r. handlarze antyków zwrócili się z propozycją odkupienia mebla do ówczesnego prezesa Sądu Okręgowego Tadeusza N. Szafa trafiła najpierw do konserwatora antyków na Śląsku, który miał

poddać ją renowacji, a potem została mu przez sąd sprzedana. Mówi się, że szafa od lat znajduje się w Niemczech. Zdaniem łódzkiej prokuratury była warta 40 tysięcy marek. Śledztwo trwa.

2003/12/30, Marian Maciejewski, Gazeta Wyborcza Wrocław, nr 302 s. 5

Jestem niewinny Sąd Dyscyplinarny nad sędzią

Wrocławski sędzia, ukarany przez łódzki Sąd Dyscyplinarny wydaleniem z sądu, złożył odwołanie

W listopadzie Sąd Dyscyplinarny w Łodzi uznał wrocławskiego sędziego Tadeusza N. za winnego popełnienia przestępstwa i ukarał go wydaleniem z sądu. Postępowanie dyscyplinarne toczyło się w związku z prokuratorskim śledztwem dotyczącym sprzedaży z pogwałceniem przepisów zabytkowej szafy z ząbkowickiego sądu. Wcześniej Sąd Dyscyplinarny w Katowicach zdecydował o uchyleniu Tadeuszowi N. immunitetu. Prokuratura postawiła sędziemu zarzut przekroczenia uprawnień i przywłaszczenia 4 tys. zł pochodzących ze sprzedaży tej szafy.

- Jestem niewinny, nie przekroczyłem uprawnień. Na pewno złożę odwołanie - zapowiadał w rozmowie z nami sędzia N. Jak dowiedzieliśmy się wczoraj, kilka dni temu do sądu odwołanie takie wpłynęło. Sprawa trafi więc do Sądu Dyscyplinarnego drugiej instancji - przy Sądzie Najwyższym.

O sprawie szeroko pisaliśmy w kwietniu. Przypomnijmy. W jednej z sal Sądu Rejonowego w Ząbkowicach Śląskich stała prawdopodobnie XVII-wieczna, barokowa szafa, w której sędziowie trzymali togi. Nie była zapisana w rejestrze zabytków. Właścicielem jej był Sąd Okręgowy w Świdnicy, któremu sąd ząbkowicki podlegał. W roku 1993 zainteresowali się nią handlarze antyków. Z propozycją odkupienia zwrócili się do ówczesnego prezesa Sądu Okręgowego Tadeusza N. Szafa najpierw trafiła do konserwatora antyków na Górnym Śląsku, który miał ją poddać renowacji, a potem została mu przez sąd sprzedana. Krążą pogłoski, że szafa od lat znajduje się w Niemczech. Zdaniem łódzkiej Prokuratury Okręgowej jej wartość sięgała 40 tysięcy marek. Śledztwo trwa.

2004-01-02, MaM SuperExpress, nr 1,

Sędzia stanie przed sądem

Prokuratura Okręgowa w Łodzi oskarżyła sędziego z Wałbrzycha, że ponad 10 lat temu, jako prezes sądu, sprzedał zabytkową szafę, należącą do sądu i przywłaszczył sobie 4 tys. zł z jej sprzedaży.

- Akt oskarżenia trafił właśnie do sądu w Łodzi - mówi Krzysztof Kopania, rzecznik łódzkiej Prokuratury Okręgowej.

W 1993 roku 52-letni wówczas Tadeusz N., pełniąc funkcję prezesa Sądu Wojewódzkiego w Wałbrzychu, sprzedał biegłemu do spraw konserwacji zabytkowych mebli, szafę w stylu barokowym, która była własnością sądu. 4 tysiące złotych zachował dla siebie.

Według prokuratury sędzia przekroczył swoje uprawnienia i działał w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. Sprawą można się było zająć dopiero teraz, ponieważ w kwietniu 2003 r. sędziemu uchylono immunitet. Tadeusz N. nie przyznał się do stawianych mu zarzutów. Grozi mu do 10 lat więzienia.

2004-01-09, Włodzimierz Knap, Dziennik Polski, nr 7.

Drogie złe prawo. O tym, że z parlamentu wychodzą karygodne ustawy, które następnie podpisuje prezydent, świadczą liczne orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego.

(INF. WŁ.) Polskie prawo zbyt często jest fatalne, a jego skutki na własnej skórze odczuwają niemal wszyscy obywatele. - Ta sytuacja nie poprawi się, dopóki prawo będą tworzyli partacze, którzy mają o nim taką samą wiedzę, jaką ma przeciętny obywatel o wyższej matematyce - mówi prof. **Marian Filar**, karnista z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika z Torunia.

Zdaniem prof. **Andrzeja Rzeplińskiego**, prawnika z Uniwersytetu Warszawskiego, nie można liczyć również na to, że eksperci zatrudnieni w ministerstwach oraz w Radzie Legislacyjnej będą przygotowywać z reguły dobre lub choćby niezłe projekty. - Zaręczam, że szeregowi prawnicy w resortach napiszą wszystko, co im zleci przełożony, nawet największą głupotę. Rada Legislacyjna jest natomiast, niestety, przede wszystkim grupą "znajomych i przyjaciół królika", a jeżeli już niektórzy z jej członków sprzeciwiają się bublom prawnym, wówczas są lekceważeni przez polityków - przekonuje prof. Rzepliński.

Według prof. **Jana Widackiego**, adwokata, podstawowym problemem jest natomiast nie jakość prawa, ale jego stosowanie. - To największa bolączka - twierdzi mecenas, ale przyznaje, że przepisy w prawie podatkowym, finansowym czy administracyjnym są zawile i niezrozumiałe dla obywatela. - Taki stan rzeczy prowadzi do tego, że Polacy nader często nieświadomie łamią prawo i ponoszą tego konsekwencje. Z drugiej strony, zawile prawo daje urzędnikom pole do interpretowania przepisów według własnego widzimisię, a to prowadzi do korupcji - mówi prof. Widacki.

O tym, że z parlamentu wychodzą karygodne ustawy, które następnie podpisuje prezydent, mimo ostrzeżeń uznanych fachowców, świadczą liczne orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego. W środę wydał on druzgocącą opinię na temat ustawy o Narodowym Funduszu Zdrowia. Z równie surową krytyką spotkała się ustawa abolicyjna ministra finansów Grzegorza Kołodki. Teraz eksperci twierdzą, że także tzw. ustawa zabużańska narusza aż trzy artykuły konstytucji i jest sprzeczna z prawem międzynarodowym. Aleksander Kwaśniewski podpisał ją w poniedziałek.

- Prezydent nie powinien podpisywać ustaw budzących wątpliwości ekspertów - mówi prof. **Wiesław Skrzydło**, konstytucjonalista z Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. - Zbyt wielu decyzji prezydenta nie rozumiem. Podam dwa przykłady. Najpierw zawetował ustawę o biopaliwach, tłumacząc, że niekonstytucyjny jest zapis nie dający nam możliwości wyboru tankowania benzyny z biokomponentami lub bez nich. Po czym podpisał nową ustawę o biopaliwach, która nadal nie daje nam prawa wyboru. Podobnie prezydent zachował się w przypadku ustawy zabużańskiej. Na początku 2001 roku zawetował ustawę reprivatyzacyjną, argumentując m.in., że niekonstytucyjny jest w niej przepis, który wyłączał z dobrodziejstw ustawy Polaków zamieszkujących poza granicami kraju. Teraz natomiast podpisał ustawę zabużańską, która wyłącza z dochodzenia roszczeń rodaków mieszkających poza Polską.

Prof. Skrzydło przyznaje, że prezydent nie musi czytać i zapewne nie czyta ustaw, które podpisuje, ale jego doradcy prawni powinni to robić. - To, że nasze prawo zbyt często jest złej jakości, wynika z niskiej kultury prawnej nie tylko całego społeczeństwa, ale również elit politycznych oraz niemałej rzeszy samych prawników. W demokratycznym państwie prawa tak wielkie lekceważenie prawa, z jakim mamy do czynienia u nas, jest nie do pomyślenia - przekonuje profesor.

Zło tkwi w wymiarze sprawiedliwości. - Wiele mówi się o fatalnym prawie, a sporadycznie jedynie o sprawie ważniejszej z punktu widzenia jego funkcjonowania, czyli o jakości polskiego wymiaru sądownictwa; jest ona dramatycznie niska - mówi prof. **Andrzej Rzepliński**. - 4,5 tysiąca lat temu w starożytnym Egipcie mawiano, że mądry sędzia jest w stanie naprawić niedobre prawo, a zły - zepsuje najlepsze. W Polsce jest tak, że niemal codziennie można usłyszeć o skorumpowanych sędziach, prokuratorach lub adwokatach, czy o niskich kwalifikacjach ludzi profesji prawniczej. W zachodniej Europie o skorumpowanym sędzim słyszy się raz na kilka lat.

Zdaniem prof. **Rzeplińskiego**, gwarantem dobrego stosowania prawa - nawet nie najlepszego - są sędziowie. Wśród nich zaś mamy zbyt wielu takich, którzy nie powinni sędzić. - Społeczeństwo - mówi profesor - a przede wszystkim dziennikarze powinni starać się przeświecić sędziów, zwracać uwagę zwłaszcza na tych, którzy trafiają do sądów okręgowych, a szczególnie do apelacyjnych, bo ci ludzie dysponują ogromną władzą i znajdują się poza jakąkolwiek kontrolą.

Prof. **Marian Filar** twierdzi, że liczba bubli prawnych nie zmniejszy się, jeżeli nie zostanie ograniczona możliwość pisania ustaw przez parlamentarzystów, którzy nie są przygotowani do tego rodzaju pracy; 15 posłów może przedłożyć projekt, a każdy może zaproponować poprawkę do niego.

- Sejm powinien zlecać to fachowcom - mówi prof. **Filar**. - Posłowie powinni wskazać ekspertom ogólne dyrektywy dotyczące kształtu projektu - tak, jak idzie się do krawca i mówi się mu, jaką marynarkę ma nam uszyć. Niestety, nasi posłowie myślą, że mogą wszystko, a jak w kilku napiją się wódki, to jeszcze podczas libacji są w stanie napisać projekt i walczyć o niego w Sejmie. Często z dobrym dla nich skutkiem, a fatalnym dla nas.

Profesor zwraca uwagę również na to, że nasze prawo jest często pisane dla partykularnych celów politycznych lub partyjnych i dlatego tak często musi być nowelizowane. - Dziesięciu przykazań Bóg nie nowelizuje od kilku tysięcy lat. I nie sądzę, aby kiedykolwiek miał to uczynić - mówi nasz rozmówca.

Dlaczego prawnicy zatrudnieni w gabinetach ministerialnych, pracujący dla premiera czy prezydenta, nie krzyczą z oburzenia i nie przestrzegają nas, gdy widzą, że grozi nam zła ustawa? - Ponieważ mają za krótkie ręce. Po prostu nic nie mogą, są za słabi, aby przeciwstawić się woli polityków - twierdzi prof. **Filar**.

Wiele nadziei społeczeństwo wiąże z Trybunałem Konstytucyjnym. Nieraz liczymy na to, że zasiadający w nim sędziowie utracą wadliwą ustawę. Prof. **Jan Widacki** uważa, że lepiej byłoby, aby skład trybunału nie był wybierany przez polityków, jak obecnie. - Znacznie sensowniej byłoby - mówi - aby Trybunał Konstytucyjny był wyłaniany w inny sposób, np. przez korporacje prawnicze lub przez wydziały prawa przy uniwersytetach. W przeciwnym wypadku trybunał był, jest i będzie organem politycznym.

Mafia z prokuratorem Tygodnik "Wprost", Nr 1103 (18 stycznia 2004)

Szczęśliwego nowego wyroku!

Bal sylwestrowy w hotelu Sobieski w Warszawie. Przy stole siedzi Katarzyna Sawicka, prokurator z VI Wydziału ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Okręgowej w Warszawie. Prowadzi ona najważniejsze kryminalne śledztwo w Polsce: w sprawie finansów "Pruszkowa" - największego i najniebezpieczniejszego polskiego gangu.

Prokurator Katarzyna Sawicka od dwóch lat prowadzi tzw. ekonomiczny wątek śledztwa przeciwko mafii pruszkowskiej. Jej zadaniem jest ustalenie powiązań finansowych przestępców ze światem polityki i wielkiego biznesu oraz odnalezienie ulokowanych na zagranicznych kontaktach oszczędności bossów "Pruszkowa". Zajmuje się ona także poszukiwaniem mafijnych inwestycji, m.in. spółek handlowych, hoteli, restauracji, nieruchomości. To zadanie dla najlepszych prokuratorów. Katarzyna Sawicka za taką uchodziła.

Towarzystwo "Pruszków"

Przy jednym stoliku z prokuratorką Sawicką siedział Roman Olszewski, pseudonim Sproket, kiedyś członek "Pruszkowa", obecnie szef grupy żoliborskiej. Mówił jej po imieniu i chwalił się tym swojemu kompanowi z sąsiedniego stolika - Januszowi Grafowi, znanej postaci "Pruszkowa". Niegdyś Graf był żołnierzem Andrzeja Kolińskiego (Persinga), a potem Henryka Niewiadomskiego (Dziada). Jest przez policję podejrzewany o zabójstwa na zlecenie. Biesiadowanie z przestępcami na balu sylwestrowym nie było grą operacyjną mającą zdekonspirować mafijne interesy. - To niemożliwe, by jakkolwiek prokurator prowadził czynności służbowe, bawiąc się w towarzystwie gangsterów. Działania "pod przykryciem" są zarezerwowane dla policjantów, i to tylko wtedy, gdy towarzystwo nie wie, że ma do czynienia z policją - tłumaczy gen. Adam Rapacki, twórca Centralnego Biura Śledczego.

Zapytaliśmy prokurator Katarzynę Sawicką o jej kontakty z bandytami z "Pruszkowa". - Na ten

temat nie mogę się wypowiadać pod groźbą kary. Moi przełożeni przedłożyli mi do podpisania stosowne oświadczenie - powiedziała prokurator Sawicka.

Partner z ograniczoną uczciwością

Partnerem prokurator Sawickiej podczas sylwestrowego balu był Waldemar Janoszczyk, były wiceprezes kopalni Lubelski Węgiel - Bogdanka. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Łodzi prowadzi przeciwko niemu śledztwo pod zarzutem przyjęcia 2,4 mln zł łapówek przy transakcjach węglowych. - Z dowodów wynika, że wiceprezes Bogdanki przyjął korzyści majątkowe od firm spedycyjnych, które woziły węgiel z kopalni do kontrahentów. Podejrzany trafił do aresztu w sierpniu ubiegłego roku. Zwolniono go 8 grudnia 2003 r. za poręczeniem majątkowym w wysokości 1,5 mln zł - mówi Krzysztof Kopania z Prokuratury Okręgowej w Łodzi, nadzorujący śledztwo ABW.

- Moja znajomość z Waldemarem Janoszczykiem trwa od lat. W Lublinie mieszkaliśmy w sąsiedztwie - przyznaje **Katarzyna Sawicka**.

- Osoba prowadząca najpoważniejsze śledztwo w Polsce powinna dokonać wyboru: albo serce, albo rozum. Jeżeli pani prokurator żyje w konkubinacie z osobą podejrzaną o poważne przestępstwo, powinna natychmiast zwolnić się z prokuratury i wybrać inny prawniczy zawód - uważa Stanisław Iwanicki, minister sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka.

Dowiedzieliśmy się, że w tym samym czasie, gdy zajmowaliśmy się sprawą kontaktów prokurator Sawickiej z gangsterami, została ona odsunięta od śledztwa w sprawie "Pruszkowa". W ubiegły czwartek z wydziału ds. przestępczości zorganizowanej warszawskiej prokuratury przeniesiono ją do wydziału sądowego, gdzie zajmie się pracą administracyjną.

Ewa Ornacka

2004-01-28, Dorota Kowalska, Grażyna Zawadka, Superexpress, nr 23, s. 3.

Gra ślepego? Minister tolerował romans pani prokurator?

Podległa mu prokurator romansowała z podejrzanym o poważne przestępstwo

O związku prokurator Katarzyny Sawickiej (32 l.) z Waldemarem Janoszczykiem, wiceprezesem kopalni "Bogdanka" podejrzanym o przyjęcie 2,4 mln zł łapówki, wiedzieli jej przełożeni. Prawdopodobnie wiedział też minister sprawiedliwości Grzegorz Kurczuk (55 l.). On sam zaprzecza.

Po opublikowaniu zdjęć z balu sylwestrowego, na którym pani prokurator siedziała przy stole z Waldemarem Janoszczykiem i trzema innymi osobami "pozostającymi w zainteresowaniu policji" rozpętała się burza.

Katarzyna Sawicka została zawieszona, wszczęto wobec niej postępowanie dyscyplinarne. Łódzka prokuratura bada, czy prokurator nie popełniła przestępstwa i nie ujawniła tajemnicy służbowej lub państwowej. Przypomnijmy: Sawicka prowadziła jedno z najpoważniejszych śledztw - finansowy wątek gangu pruszkowskiego i jej kontakty z osobą podejrzaną powinny wzbudzić niepokój szefów resortu sprawiedliwości.

Znają się od lat

Według naszych informacji, bliski związek prokurator Sawickiej i Janoszczyka nie był dla nikogo tajemnicą. Wiedzieli o nim wiele osób w warszawskiej prokuraturze, nie wyłączając zwierzchników Sawickiej. Tyle, że nikt nie może o tym mówić. Przynajmniej oficjalnie.

- Mamy absolutny zakaz rozmów z dziennikarzami - zastrzegają warszawscy prokuratorzy.
- Jestem przekonany, że Kurczuk miał informacje na ten temat długo przed tym, zanim sprawę nagłośniły media - powiedział nam jednak wysoki urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości.

Ustaliliśmy, że minister zna Stanisława Stachowicza (58 l.), ojca pani prokurator, prezesa lubelskiej kopalni "Bogdanka". Kurczuk, który na stałe mieszka w Lublinie, często bywa na meczach drużyny piłkarskiej Górnik Łęczna. Ze Stachowiczem widział się na ostatnim ligowym spotkaniu, w listopadzie ubiegłego roku. Było to już po zatrzymaniu i postawieniu zarzutów Waldemarowi Janoszczkiowi, ale przed opublikowaniem zdjęć z balu sylwestrowego w hotelu "Sobieski".

- Minister Kurczuk zapytał mnie wtedy: Jak tam twój niedoszły zięć? - wspomina Stachowicz.

On sam - jak twierdzi - nie informował ministra o związku córki z Waldemarem Janoszczkiem. Skąd zatem Kurczuk miał tę wiedzę?

Jakie relacje łączą Stachowicza z Grzegorzem Kurczukiem?

- Trudno, żebyśmy się nie znali. Minister, podobnie jak ja, pochodzi z Lublina - stwierdza.

Zarówno Kurczuk, jak i przełożeni Katarzyny Sawickiej utrzymują dzisiaj, że o jej związku z Janoszczkiem dowiedzieli się dopiero w styczniu.

- Na krótko przed publikacją prasową z meldunku prokuratora apelacyjnego w Warszawie - wyjaśnia "Super Expressowi" minister Kurczuk.

Czy minister zna Stanisława Stachowicza, ojca prokurator Sawickiej?

- Tak, znam od 14 lat, bo trudno nie znać prezesa kopalni "Bogdanka", jeśli przez wiele lat pełni się funkcje publiczne i społeczne - odpowiada.

Prokurator milczy

Prokurator Sawicka nie rozmawia z dziennikarzami, ale zaraz po opublikowaniu zdjęć z sylwestrowego balu w tygodniku "Wprost", stwierdziła, że nie kryła swojego związku z Waldemarem Janoszczkiem i że wiedzieli o nim jej przełożeni.

Stanisław **Stachowicz**, ojciec Sawickiej, z którym rozmawialiśmy, potwierdził:

- Córka lojalnie poinformowała ich o tym.

Było przyzwolenie

Stanisław **Iwanicki** (53 l.), były minister sprawiedliwości, nie ma wątpliwości:

- Sawicka miała milczące przyzwolenie przełożonych na związek z osobą podejrzaną o poważne przestępstwa. Kroki dyscyplinarne podjęto dopiero wtedy, gdy o sprawie zrobiło się głośno.

Nie powinni tego ukrywać! - mówi prof. **Andrzej Rzepliński** z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

- Jeśli chociaż jeden ze zwierzchników pani prokurator wiedział o jej bliskim związku z podejrzanym, któremu urząd prokuratorski zarzuca poważne przestępstwo, to powinien podjąć natychmiastowe działania. Powinien zażądać od pani prokurator wyjaśnień i rozważyć wszczęcie wobec niej postępowania dyscyplinarnego. Takiego układu nie można tolerować. To naraża godność wymiaru sprawiedliwości. Sytuacja, w której przełożony wie o takim związku i toleruje go mówiąc, że nie będzie zaglądał w serce, jest niedopuszczalna. **Prokurator powinien być poza wszelkimi podejrzeniami.**

2004-02-07, Michał Stankiewicz, H.K., RAD, Rzeka, nr 32, s. A5.

Bo nie przeprosił.

Zaskakujący wyrok na dziennikarza z podszczecińskich Polic wydał w piątek Sąd Rejonowy w Szczecinie. Za pomówienie gminnego urzędnika **Andrzej Marek** ma spędzić trzy miesiące w więzieniu..

- Nie wiem, za co idę do więzienia, to sytuacja jak z Mrożka - komentował na korytarzu sądowym zdenerwowany Andrzej Marek.

- Jestem usatysfakcjonowany, ale nie do końca - narzekał Piotr Misiło.

O co chodzi w tej sprawie? Andrzej Marek jest dziennikarzem i redaktorem naczelnym tygodnika "Wieści Polickie". Z kolei Piotr Misiło był redaktorem naczelnym dwutygodnika "Echo Polic", a

następnie założył agencję reklamową. Na początku 2001 roku gmina zatrudniła go na stanowisku naczelnika wydziału promocji i rzecznika prasowego. Na prośbę władz miasta stworzył gminny miesięcznik.

Andrzej Marek na łamach "Wieści Polickich" krytykował powołanie Misiły, jego pracę, a także łączenie funkcji szefa agencji z pracą w gminie. W odpowiedzi Misiła podał go do sądu o pomówienie. W 2002 roku sąd skazał Marka prawomocnym wyrokiem na trzy miesiące więzienia w zawieszaniu na dwa lata. Wykonanie wyroku uzależnił od przeprosin. W uzasadnieniu podał, że kara nie jest wymierzana za krytykę prasową, lecz za podanie nieprawdziwych informacji i sugerowanie, że Misiła szantażem zdobył stanowisko rzecznika, oraz że odwodził potencjalnych klientów od umieszczania ogłoszeń w konkurencyjnym tygodniku.

Dziennikarz nie zgodził się z taką interpretacją i odmówił przeproszenia. W piątek sąd rejonowy postanowił o wykonaniu kary. Marek automatycznie do więzienia nie pójdzie. Najpierw wystąpi o kasację wyroku i złoży zażalenie na postanowienie sądu.

- Wszystko, co napisałem jest prawdą. Nie zarzucałem mu wykorzystywania funkcji ani szantażu - mówił w piątek. Marek złożył też skargę na skład sądu.

- Szwagier Misiły jest sędzią i kolegą sędziego, który orzekał, ale uznano, że to nie miało wpływu na przebieg postępowania - żalił się.

Wyrok oburzył organizacje stojące na straży wolności słowa. - Od 1989 r. nie zdarzyło się, że skazano dziennikarza na więzienie za publikowane przez niego teksty - podkreśla **Elżbieta Misiak-Bremer**, członek zarządu Centrum Monitoringu i Wolności Prasy.

Prof. **Andrzej Rzepliński** z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka uważa, że dziennikarza powinien jak najszybciej ułaskawić prezydent. Michał Bogusławski z Rady Etyki Mediów stwierdził że wyrok ogranicza wolność prasy. Andrzeja Marka poparli wydawcy i redaktorzy prasy lokalnej. Zadeklarowali, że gotowi są odsiedzieć za niego wyrok.

Senator **Zbigniew Romaszewski**, od lat zajmujący się obroną praw człowieka, apeluje o nowelizację prawa prasowego. Proponuje, by dziennikarze byli objęci statusem osób zaufania publicznego.

Rzecznik praw obywatelskich **Andrzej Zoll** zażądał akt sądowych, by zbadać możliwość wniesienia kasacji.

Oświadczenie SDP

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wyraża głębokie zaniepokojenie faktem skazania dziennikarza prasy lokalnej w Policach redaktora Andrzeja Marka na karę więzienia za publikację, które - zdaniem sądu - naruszyły dobra osobiste jednego z urzędników samorządowych.

Nie wchodząc w istotę tego, czy dziennikarz dopuścił się, czy nie i w jakim zakresie naruszenia dóbr osobistych urzędnika, jesteśmy przekonani, że stosowanie w tej sprawie procedury karnej i kary więzienia, choć dopuszczalne prawem, nie służy wolności słowa w Polsce. Obawiamy się, że wymierzanie kar, które mogą prowadzić do całkowitej likwidacji tytułu prasowego i zastraszenia jego wydawców, zwłaszcza na poziomie lokalnym, może stać się praktyką zaraźliwą i bardzo szkodliwie wpływać na rozwój wolnej prasy w Polsce. W imieniu Zarządu Głównego SDP: Krystyna Mokrosińska; Barbara Rogalska; Jerzy Kłosiński; Wanda Nadobnik; Grażyna Ogródowska; **Agnieszka Romaszewska-Guzy**.

2004-02-12, Dorota Kowalska, Robert Więckowski, Superexpress, nr 36, s. 5.

Pedofile drżycie. Czy nasze dzieci będą bezpieczne?

Ma powstać rejestr skazanych za pedofilię Nie będą mogli zbliżać się do dzieci Każdy przejdzie przymusową terapię farmakologiczną i psychologiczną

Posłowie pod dowództwem Katarzyny Piekarskiej (37 l.) z SLD chcą stworzyć rejestr skazanych za pedofilię, zakazać im zbliżania się do dzieci i nakazać przymusową terapię farmakologiczną i psychologiczną.

Pierwszy próbny projekt będzie prawdopodobnie gotowy już w przyszłym tygodniu. Pracuje nad nim specjalna podkomisja ds. pedofilii w ramach Sejmowej Komisji Sprawiedliwości.

Będą monitorować?

- Od dłuższego czasu w mediach pojawiają się postulaty walki z pedofilią. Dlatego pracujemy nad propozycjami legislacyjnymi - mówi **Katarzyna Piekarska**. - Chcemy, aby osoby skazane za pedofilię nie mogły podejmować pracy w szkołach, świetlicach, żeby nie mogły pracować z dziećmi, co teraz się zdarza - tłumaczy Piekarska.

Zainteresowani pracą z młodzieżą będą musieli wykazać się odpowiednim zaświadczeniem. "Lista pedofilów" byłaby niejawna. Ale czy np. dyrektor szkoły mógłby mieć do niej wgląd?

- Być może - posłanka Katarzyna Piekarska nie chce ujawniać zbyt wielu szczegółów projektu. - Wciąż nad nim pracujemy. Nad wieloma kontrowersyjnymi punktami zastanawiają się nasi eksperci i prawnicy - tłumaczy.

Dyskutuje się m.in. nad możliwościami monitorowania osób skazanych za pedofilię, które opuściły zakład karny, i wydłużeniem czasu możliwego do tzw. zatarcia skazania, czyli usunięcia im z papierów adnotacji o tym, za co byli karani.

Można to leczyć

- Nie dziwi mnie, że próbuje się ten problem rozwiązać środkami prawnymi. Prawdą jest, że wiele z tych przestępstw dokonywanych jest w warunkach recydywy - przyznaje prof. **Zbigniew Lew-Starowicz**, seksuolog. - Pedofilów można leczyć, ale proces leczenia jest długotrwały.

- Mniej więcej co trzeci przestępca seksualny po wyjściu z więzienia popełnia takie samo przestępstwo - mówi z kolei **Maria Gordon**, doktor psychologii z oddziału psychiatrii sądowej. - Największym problemem w leczeniu pedofilów i gwałcicieli jest to, że czasami po prostu nie chcą oni zmieniać swego zachowania.

Na świecie mają listy

Lew-Starowicz pytany o "czarną listę pedofilską" twierdzi, że nie jest to nic nowego i że np. Szwajcarzy wprowadzili już u siebie taki rejestr. I na tym nie poprzestali. W referendum aż 56 proc. z nich opowiedziało się za wprowadzeniem kary dożywotniego internowania dla pedofilów i gwałcicieli. W Polsce tacy przestępcy trafiają tylko na krótko za kraty albo w ogóle wymigują się od kary.

W tej chwili za kratami siedzi w naszym kraju około 2500 pedofilów i gwałcicieli. Do więzień trafilii najczęściej tylko na kilka lat..

Nie mogą być bezkarni

W "Super Expressie" wielokrotnie piętnowaliśmy pedofilów. Ostatni raz pisaliśmy o nich 11 stycznia. Sprawa dotyczyła braci Jabłońskich, którzy przez długi czas byli zupełnie bezkarni. Dopiero po naszych artykułach zajęła się nimi prokuratura. Jednemu z braci, Marcinowi Jabłońskiemu, postawiono wreszcie zarzuty.

Powinni być pod stałą kontrolą - twierdzą eksperci

Piotr Kruszyński (58 l.), prof. prawa na Uniwersytecie Warszawskim:

- Osoby groźne dla społeczeństwa powinno się izolować, ale przymusowe, dożywotnie internowanie nie jest najlepszym pomysłem. Pedofile i gwałciciele przed wyjściem z więzienia powinni być badani przez psychiatrów. Gdyby biegli orzekli, że wciąż są groźni, powinni być umieszczeni na przymusowym leczeniu w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Andrzej Rzepliński (54 l.), prof. prawa z Fundacji Helsińskiej:

- Podoba mi się pomysł poddania pedofilów większej kontroli ze strony państwa. Uważam, że wyszłoby to na dobre i społeczeństwu, i samym pedofilom. Jeśli ktoś czuje się bardziej kontrolowany przez innych, to jednocześnie sam też się bardziej kontroluje.

2004-01-29, Grzegorz Zasepa, Superexpress, nr 24, s. 10-11.

Widzą cię nago. Demaskujemy sklepowych zboczeńców.

Wchodzisz do przebieralni w hipermarkecie. Uważaj! Jesteś w ukrytej kamerze. Nagrywają cię ochroniarze.

Mierzysz ubrania w hipermarketach? Po tym tekście już raczej nie będziesz, chyba że lubisz, gdy cię podglądają. "Super Express" dotarł do szokujących nagrań z hipermarketu Real. Uwiecznieni na taśmach ludzie rozbierali się, czasem do rosołu - nic dziwnego, byli w przymierzalni i nie mieli pojęcia, że podgląda ich marketowy Wielki Brat.

Jest godzina 13.30, do przymierzalni w krakowskim Realu wchodzi zgrabna blondynka. Zdejmuje bluzkę, pod którą nie ma stanika i pokazuje obfity biust. - I w tym momencie w pokoju z monitorami jest już bardzo wesoło - mówi Janusz, przez kilka lat pracownik ochrony hipermarketu. - Zbiegają się wszyscy faceci, żeby zobaczyć tę laskę. To normalne, że lubią sobie popatrzeć.

Nieżła zabawa

Taśmy, które zdobyliśmy, są szokujące. Ochroniarze z upodobaniem nagrywali atrakcyjne kobiety przymierzające bieliznę, matki karmiące piersią dzieci czy pary młodych ludzi, którzy w przymierzalni korzystali z krótkiego "sam na sam". Z naszych informacji wynika, że część z tych nagrań mogła być rozpowszechniana w Internecie, ochroniarze pożyczali je też swoim znajomym.

- To była nieźła zabawa - przyznaje Janusz (34 lata), były detektyw w hipermarketach Real. - Czasem naprawdę było na co popatrzeć, bo mieliśmy takie pary, które w kabinie szły na całość. Nieraz pośmialiśmy się z grubej baby, innym razem podziwialiśmy zgrabne panienki. Ale przede wszystkim łapaliśmy złodziei.

Tajne kamery

Janusz opowiada o kamerach niechętnie. Dopiero, kiedy pokazujemy mu taśmy, pęka. Te umieszczone nad przymierzalniami są tajne. Wiedzą o nich tylko tzw. detektywi. Dziwne, gdyby nie wiedziało o tym kierownictwo ochrony i dyrekcja hipermarketu. - Bo to w zasadzie nielegalne, ale prawie każdy sklep takie ma. Wiadomo, co się kradnie najczęściej - ciuchy. Więc montuje się kamerę w przymierzalni, to i wyniki w łapaniu złodziei są lepsze.

Jak ktoś próbował wynieść jakieś ubranie na sobie, zatrzymywało się go tuż za bramkami i sam się przyznawał. Oczywiście, nie mówiło mu się, że był widziany w kabinie. To już była tajemnica.

Oficjalnie w Realu wszyscy zaprzeczają, by podglądali przymierzalnie.

Już nie ma?

- Pewnie, że nikt się nie przyzna do tych kamer - dodaje nasz informator. - Ich oficjalnie po prostu nie ma. Każdy z detektywów jest poinstruowany, że przy każdym wyjściu z monitoringu ma wyciągać kabel z tajnych kamer i ukrywać go przed innymi pracownikami.

Tuż po naszej dąbrowskiej prowokacji skontaktowała się z nami rzeczniczka Reala. - Nie mogę uwierzyć, by w którymś z naszych sklepów kamery mogły podglądać przebiegających się klientów - twierdzi Isolda de Saint Paul, rzecznik sieci Real w Polsce. - Było to samowolne działanie pracowników ochrony. Po ujawnieniu tego faktu, pod koniec grudnia 2003 r., kamera została zdemonstrowana. Równocześnie zerwali współpracę z tymi pracownikami. Podkreślam, że działanie tych panów było samowolne i że nasza firma w żadnym z marketów nie prowadzi monitoringu w kabinach przymierzalni.

Dotarliśmy do jednego ze zwolnionych. - To bzdury. Jak można na własną rękę zainstalować kamerę 10 metrów nad ziemią, gdzie zwykła drabina nie sięga?

A może...

Postanowiliśmy to sprawdzić. Nasz reporter pojechał do innego Reala - w Dąbrowie Górniczej. Wszedł do przymierzalni i zaczął wyciągać z kieszeni słodycze (kupione oczywiście w innym sklepie). Po chwili, tuż po wyjściu ze sklepu, został zatrzymany przez ochronę. - Proszę opróżnić kieszenie, bo zawołamy policję - pada suchy rozkaz ochroniarza. Jakież było jego zdziwienie, gdy okazało się, że żaden z batoników nie pochodzi z Reala. Skąd ochroniarze wiedzieli, że nasz reporter coś ukrywa, skoro oficjalnie nie ma kamer w przymierzalniach? - To są już nasze metody - odpowiada jeden z detektywów.

Dyrektor sklepu też zarzeka się, że kamer nie ma. - Został pan ujęty nie dlatego, że robił pan coś podejrzanego w kabinie, ale wcześniej zachowywał się pan dziwnie - przekonuje Adam Urbański, dyrektor Reala w Dąbrowie Górniczej. - Dlatego zainteresowała się panem ochrona. Zareczę panu, że nie podglądamy przymierzalni, to byłoby równoznaczne z nieuszanowaniem ludzkiej godności. Zresztą pokazałem panu, co widzą detektywi na monitorach. .

Ubeckie metody wbrew konstytucji – twierdzi prof. **Andrzej Rzepliński** z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka:

- Jestem oburzony. To są ubeckie metody. Brutalne łamanie ludzkiego prawa do prywatności, zagwarantowanego przez konstytucję. Podglądanie ludzi w sytuacji, kiedy mają prawo być przekonani

o intymności, jest niegodne. Tak nie postępuje kupiec, który szanuje swoich klientów! Tak postępuje kupiec, który w każdego klienta traktuje jak potencjalnego złodzieja. Wszystkim osobom podglądanych w tym markecie w kabinie przysługuje prawo do wysokiego odszkodowania za szkody moralne. Moim zdaniem, w ogóle niedopuszczalne jest instalowanie monitoringu w przymierzalniach, ale jeśli już, to każdy klient musi być o tym informowany. To absolutne minimum. Wtedy zapewne wielu z nich będzie omijać te markety szerokim łukiem.

Podjąłbym się takiej sprawy - mówi Mec. **Leszek Piotrowski**, adwokat, były wiceminister sprawiedliwości:

- Osobiście, gdyby zgłosił się do mnie ktoś pokrzywdzony w ten sposób, podjąłbym się tej sprawy, bo rokuje ona korzystne rozstrzygnięcie przed sądem.

Opisana przez was sytuacja to moim zdaniem ewidentne naruszenie dóbr osobistych, łamanie podstawowego prawa człowieka do prywatności. Każdy, kto ma dowody, że był podglądany w sytuacji intymnej może złożyć pozew do sądu cywilnego i wystąpić o zadośćuczynienie pieniężne.

Copyright © 2000-2003; and my Letters... All rights reserved
e-mail address: andmyletters1@sbcglobal.net
<http://www.gotoslawek.org>